



*Jorunn Johansen*

# *Brat zły*

Tajemnica Wodospadu  
Tom 19

# Rozdział 1

Amalie wpatrywała się w światełka przypominające oczy. Docierały do niej piękne tony. Nigdy przedtem tej muzyki nie słyszała, takiej czarującej, zniewalającej.

Potrząsała głową, próbując wydostać się z chlupiącego bagna, które wciągało ją coraz bardziej. Nie była w stanie oderwać wzroku od tego zła, które mieniło się przed nią. Czuła, że ono ją otacza, że przenika jej ciało razem ze strasznym chłodem. Nogi miała kompletnie odrętwiałe.

- Amalie!

Spojrzała za siebie, na skraju bagna stała pani Vinge i machała do niej rękami. Pochylając się, próbowała jej dotknąć.

- Nie sięgniesz, Vinge. Jestem zbyt daleko.

Tamta potrząsnęła głową.

- Próbuj się odwracać, w przeciwnym razie utoniesz i będzie po tobie!

Amalie widziała przerażenie w jej oczach. Wciąż próbowała się wydostać. Wyciągała ręce, ale to nie pomagało, tkwiła uwięziona w błocie i coraz bardziej się w nim pograżała.

Chodź do mnie. Chodź!

Coś w bagnie wabiło ją do siebie. Ale to chyba nie są czary, to nie jest zło. Przemawiający głos i muzyka pochodzą z jej głowy.

Znowu próbowała się wyrwać, ale otaczająca ją błotnista maź nie puszczała.

- Tu nie ma dna! - zawołała, czując, że tonie.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uwolniła ręce. Wciąż tkwiła w bagnie, ale udało jej się wydobyć nieco wyżej.

- Amalie! Próbuj się odwrócić!

Ona jednak bała się, bo dotychczas przy każdym ruchu opadała niżej.

- Jeśli się nie odwrócisz, nie będę ci mogła pomóc - krzyczała za nią pani Vinge.

Robiło się coraz ciemniej, serce Amalie tłukło się tak głośno, że słyszała jego uderzenia. Jak się stąd wydostać?

- Spróbuj podać mi kij, może to coś da! - krzyczała przerażona.

Kiedy jednak odwróciła głowę, zobaczyła tylko ciemność.

- Pani Vinge!

Żadnej odpowiedzi. Gdzie ona się podziała?

I nagle zobaczyła, że po tamtej stronie bagna pani Vinge biegnie przed siebie. Po prostu ucieka.

- Zaczekaj! Nie możesz mnie tak zostawić! - wrzasnęła, ale tamta zdawała się jej nie słyszeć.

Była teraz bliska paniki. Próbowwała poruszać nogami, ale one były jak zamurowane. Ciało miała odrętwiałe, nie była w stanie dłużej walczyć. Kiedy jednak błoto oblepiło jej brzuch, nieoczekiwanie poczuła przypływ siły. Z wielkim wysiłkiem odwróciła ciało. Kątem oka dostrzegła brzeg. Spróbowała jeszcze raz, zaciskając zęby, udało jej się chwycić jakąś kępkę trawy.

Na brzegu leżał kij. Nie była w stanie go dosięgnąć, przemarznięta, szczekała zębami. Gałęzie drzew poruszały się na wietrze, który przybierał na sile.

- Nie! - wrzasnęła, zalewając się łzami.

Nie chciała umierać, nie w ten sposób.

Walczyła, próbowała poruszać nogami, i wtedy pojawiała się nadzieja. Potem znowu czuła, że opada głębiej, w końcu jednak stopa natrafiła na coś twardego, jakby kamień. Chwytała się szuwarów, w końcu złapała jakąś większą trzcinę i mogła odpocząć. Przemarznięte członki odmawiały posłuszeństwa, ale jeśli teraz się podda, będzie po niej.

- Pomocy! Ratunku! - zawołała, bo miała wrażenie, że słyszy odgłos końskich kopyt. Ktoś się zbliża! - Pomocy! Topię się w bagnie! - krzyczała z całej siły.

Stukot kopyt był coraz bliżej.

- Tutaj jestem! - wołała ze szlochaniem. - Pomóż mi!

- Rany boskie! Amalie!

Rozpoznała ten głos. To Andreas.

Zeskoczył z konia i rzucił się na ratunek.

- Jakim sposobem tam wpadłaś? - krzyczał, wyciągając do niej rękę. - Chwyć mnie. Szybko, bo zanurzasz się coraz bardziej!

Widziała przerażenie w jego wzroku, wyciągnęła rękę. Nic nie czuła, ale w jakiś niezwykle sposób udało jej się dosięgnąć dłoni mężczyzny.

- Jesteś zimna niczym bryła lodu. - Ciągnął ją ku sobie, a ona czuła, że jej ciało opuszcza chlupoczącą maź.

Wyciągał ją powoli, ale zanim się obejrzała, znalazła się w jego objęciach. Wciąż szczekała zębami, chyba nigdy nie było jej tak zimno.

- Poczekaj, mam w worku koc.

Niechętnie wysunęła się z jego objęć. Andreas pobiegł do konia i przyniósł torbę.

- Gdybyś nie przyszedł, już bym nie żyła - powiedziała Amalie z wdzięcznością.

- Cicho, nic nie mów, bo tracisz siły. - Otulił ją kocem i zaczął zbierać chrust. - Zaraz rozpalę ogień, to się rozgrzejesz.

- Dziękuję ci, Andreas. - Próbowała się uśmiechać, ale twarz miała odrętwiałą.

- Chrust jest wilgotny, ale jakoś damy sobie radę - zapewniał, wyjmując z kieszeni kawałek papieru. Wsunął go między gałązki i podпалиł.

Wkrótce skulona Amalie siedziała przy ognisku. Trzęsa się jak w febrze, ale czuła się już lepiej.

Andreas usiadł obok i objął ją ramieniem.

- No to teraz powiedz, jak wpadłaś do bagna? - spytał.

Spojrzała mu w oczy.

- Szłam z panią Vinge i ona została wciągnięta. Uratowałam ją, ale sama nie mogłam już wyjść, a ona uciekła.

- Co ty mówisz? - Andreas uniósł brwi. - Tak ci podziękowała?

- Najpierw próbowała mnie ratować, ale później wpadła w panikę.

- W to nie wierzę, na pani Vinge nie można polegać. Tak uważam.

Amalie spuściła wzrok.

- Chyba masz rację, ale powiedziała mi coś, co mnie zdziwiło.

- Co to takiego?

- Ona była zakochana w Jensie, twoim ojcu. A przecież on tutaj zmarł, chciała zobaczyć to miejsce.

- W to też nie wierzę - przerwał jej Andreas. - Ojciec nigdy by się nie zadał z kimś takim jak ona. Jesteś pewna, że nie miała nic złego na myśli, przyprowadzając cię tutaj?

Amalie wpatrywała się w płomień.

- Nie wiem. Wydawała się szczerą. Nie ma też pewności, że twój ojciec wiedział o tej jej miłości. Może po prostu była beznadziejnie zakochana?

Amalie wciąż mocniej otulała się kocem, miała wrażenie, że już nigdy się nie rozgrzeje.

- Moim zdaniem to dziwne, że obie wpadłyście do bagna. Odkąd pamiętam, nigdy nic podobnego się tu nie zdarzyło.

Amalie odwróciła głowę i spojrzała w jego niebieskie oczy.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, byłam jak zaczarowana. Jakieś światelko płonęło przede mną na mokradłach, wyglądało jak błyszczące oczy. Miałam wrażenie, że otacza mnie zło, Andreas. I bardzo się przestraszyłam.

On słuchał jej z powagą.

- W takim razie to prawda.

- Ja myślę, że ścigał mnie duch wodny.

Andreas wolno kiwał głową. Tymczasem ona nagle zdała sobie sprawę, że żywi do niego uczucie, wszystko w nim jej się podoba.

- Ja wiem wiele o duchach wodnych i o diabłach, ale to wydaje mi się zbyt nieprawdopodobne.

Rozumiała jego wątpliwości.

- Chyba nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę - westchnęła.

Znowu spoglądała na bagna. Nastrój panował magiczny, nieprzyjemny. Wciąż się trzęsła, ale nie z zimna, tylko z przerażenia. Między szuwarami nad połyskującym błotem znowu zobaczyła światelko... Zerwała się na równe nogi.

- Nie chcę tu dłużej siedzieć - powiedziała, wciąż wpatrując się w światelko nad mokradłem.

Andreas też wstał, objął ją i obrócił ku sobie tak, że musiała na niego spojrzeć.

- Nie bój się, Amalie. Ja tu jestem i będę cię pilnował.

- A nie widzisz światła nad bagnem? - spytała.

Wciąż miała wrażenie, że to światło ją do siebie przyciąga, włosy jeżyły jej się na głowie.

On pokręcił głową.

- Nie, tam nie ma żadnego światła. Coś ci się przywidziało.

- Nie, wiem, co tam zobaczyłam. To złe siły kryjące się w bagnach i możliwe, że Jens widział to samo. A jeśli jeszcze słyszał tę czarującą muzykę, mógł zostać wciągnięty w błoto, podobnie jak ja.

Andreas położył palec wskazujący na jej wargach.

- Cicho, nie myśl o tym więcej. Ojciec nie żyje, wyjaśnienie sprawy, to zadanie lensmana.

- Muszę wracać do domu, Andreas. Zaziębę się. - Oczywiście, wsiadaj ze mną na siodło.

Obejmowała Andreasa w pasie, a on pewnie prowadził konia.

Przez jakiś czas jechali ścieżką, było jej trochę cieplej, czuła bliskość Andreeasa i to też poprawiało jej humor.

Tangen skąpane było w księżycowym blasku. Amalie siedziała odrętwiała, strasznie zmęczona, ale kiedy Andreas zatrzymał konia przy wejściu do domu, ożywiła się.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - spytała.

Natychmiast pożałowała tych słów, ale on odparł z uśmiechem:

- Gdybyś chciała, mogę przyjechać jutro. Zawstydziała się i zarumieniła.

- Nie, nie możesz, chociaż... - Słowa więzły jej w gardle, serce biło szybko.

On roześmiał się radośnie.

- Chyba nie musisz się mnie wstydzić, Amalie. Przecież dobrze się znamy. - Patrzył na nią zaczepnie.

- Tak, masz rację, ale nie chcę, żeby ludzie... - Przełknęła ślinę. - Pani Vinge zostawiła mnie w bagnie. Możliwe, że miała jakieś ukryte zamiary, jak powiedziałeś. W takim razie jednak muszę wyjaśnić, o co chodziło.

- Moim zdaniem nie powinnaś się tym kłopotać. Powiedziała ci o swojej wielkiej miłości, więc nie odważ się na ciebie plotkować.

- Możliwe, ale teraz muszę już iść. Dziękuję za uratowanie mi życia.

Andreas uniósł rękę.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że pojechałem tą drogą.

Chciała mu coś powiedzieć, ale właśnie nadszedł Julius. Stał na ich widok jak wryty.

- Na Boga, Amalie, jak ty wyglądasz?

- Wpadłam do bagna - wyjaśniła, otwierając drzwi.

- Co? Niczego gorszego...

- Ja pojawiłem się w ostatnim momencie - wtrącił Andreas, ale zarządca go zlekceważył.

- Byłaś tam, gdzie umarł Jens?

- Tak - odparła krótko.

Julius odszedł, kręcąc głową.

- Tutaj też masz mężczyznę, który się o ciebie troszczy - rzekł Andreas.

Amalie przytaknęła.

- Tak, jest bardzo miły. Czasami odnoszę wrażenie, że to mój ojciec.

Andreas uklonił się elegancko.

- No to ruszam w drogę. Wkrótce się znowu zobaczymy.

Amalie weszła do holu, wciąż trzęsąc się z zimna.

- Rany boskie! Gdzieś ty była? - zawołała Maren z kuchni.

Amalie obrzuciła spojrzeniem swoją suknię i przestraszyła się. Była cała oblepiona błotnistą mazią. Opowiedziała krótko, co się stało i że jest strasznie zmęczona, a potem poszła na górę, doprowadzić się do porządku.

Na schodach jeszcze przystanęła.

- Posłuchaj mnie, Maren. W bagnie jest coś, co mnie śmiertelnie przeraziło.

- Duch wodny? - Maren patrzyła na nią z powątpiewaniem. - Słyszałam tę opowieść, ale żeby ktoś znajomy coś takiego przeżył! A pani Vinge dlaczego cię zostawiła?

Amalie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale się dowiem.

- Dobrze, ale teraz zdejmij to ubranie i połóż się do łóżka.

Przy drzwiach swojego pokoju usłyszała jakieś szeleszczące dźwięki. Odwróciła się gwałtownie, płomień lampy migotał z sykiem. Amalie rozejrzała się, w ostrym świetle zobaczyła przed sobą Majnę. Tak ją to przeraziło, że jednym szarpnięciem otworzyła drzwi, wbiegła do pokoju i znowu je zatrzasknęła. Oddychała pośpiesznie. Ukazała jej się Majna, Majna jako upiór! I jest tutaj, w Tangen!

## Rozdział 2

Vigdis chodziła po pokoju, splatając dłonie. Nie bardzo wiedziała, dlaczego się denerwuje. Przed południem Olav popatrzył na przystrojony stół, skinął głową i zniknął. Oczekiwali gości na obiedzie. Spytała Olava, kto ma przyjść, ale on tylko łypnął na nią bez słowa. Przyglądała się porcelanie i srebrnym sztućcom leżącym na stole. Jesienne kwiaty stały w wazonach, świece płonęły w kandelabrach. Było pięknie.

Usiadła na krześle pod ścianą, wciąż próbując zgadnąć, kim są goście.

Miała nadzieję, że to Erik wrócił, a Olav utrzymuje sprawę w tajemnicy, by zrobić jej niespodziankę. Ale dlaczego miałby się tak zachowywać? Olav sam przecież o nią zabiega. Rano zapukał do jej pokoju i domagał się, żeby pozwoliła mu wejść. Siedziała na łóżku bez słowa, uspokoiła się dopiero, kiedy stwierdziła, że drzwi zamknięte są na klucz. Nie odezwała się ani słowem. W końcu Olav zaklął szpetnie i odszedł.



Vigdis pokręciła głową. Nie była w stanie o tym myśleć. Teraz Olav znowu przyszedł. Jeszcze raz obejrzał nakryty stół, nagle popatrzył na nią i spytał:

- Dlaczego rano nie pozwoliłaś mi wejść?

- Nie jestem twoją żoną. To Erik jest moim mężem.

- Erik? Kim jest ten cały Erik? - Rozglądał się rozkojarzony i Vigdis znowu dostrzegła to puste spojrzenie, jakby myślami był daleko stąd.

- Przecież wiesz, kim jest Erik. To twój syn. Olav się uśmiechnął.

- Ach, tak, prawda.

Za drzwiami rozległy się jakieś hałasy i nagle w progu stanęli jej rodzice!

- Vigdis! - Matka podbiegła do niej. - Myślałam, że zemdleję, słysząc, że ty mieszkasz tutaj. Że wyszłaś za mąż za Erika i że Olav... - Matka umilkła, obejmując Vigdis. - Widzę, że nosisz moją biżuterię - szepnęła jej do ucha.

Vigdis widziała, że matka jest zmartwiona, ale nie przejmowała się tym. Odwróciła się teraz do ojca, który stał pośrodku pokoju i wpatrywał się w córkę. Wyglądał groźnie, Vigdis poczuła się nieswojo. Co on jej teraz zrobi?

Ojciec uniósł brwi.

- Jak ty wyglądasz? Co się z tobą stało, Vigdis?

- Drodzy goście - przerwał mu Olav. - Proszę, siadajcie do stołu. - Ręką wskazywał, gdzie kto ma usiąść.

Ojciec skinął głową i zajął miejsce, ale matka nadal stała.

- Czyżby ojciec miał rację? Czy ty jesteś chora? - zwróciła się do Vigdis zatroskana.

- Nie, nic mi nie jest, tylko Erik zniknął. Nie wiem, gdzie się podział.

Powinna była odgryźć sobie język, zanim powiedziała rodzicom coś takiego.

- Ach, tak. A jak myślisz, dlaczego?

Vigdis przełknęła ślinę.

- Nie mam pojęcia.

Olav zaczął znowu zapraszać do stołu i nie miała okazji powiedzieć nic więcej. Ojciec rozmawiał z Olavem o handlu morskim, zdziwiła się, że tak go interesuje ten temat.

Weszła pokojówka w czarnej sukni i białym fartuszk. Wniosła na tacy szynkę i ziemniaki.



Teraz i matka zajęła miejsce przy stole. Vigdis mierzyła ją wzrokiem i stwierdziła, że matka schudła, zrobiła się blada. Pewnie ojciec znowu ją dręczy, pomyślała. I w głębi duszy zachichotała.

Usiadła obok matki i nałożyła sobie jedzenia. Niestety, nie miała apetytu.

Dlaczego jej rodzice się tu pojawili? Z niepokoju bolał ją żołądek, a kiedy ojciec wpił w nią wzrok, o mało nie upuściła widelca.

- Przyjechaliśmy tutaj, by zabrać cię do domu, Vigdis - oznajmił. - Erik napisał do mnie list świadczący, że wasze małżeństwo zostało uznane za nieważne. - Pociągnął łyk piwa. - Dostaliśmy od twojego męża sporą sumę pieniędzy, więc będziesz teraz zamożną kobietą, córko.

Vigdis z trudem chwyciła powietrze. Odłożyła sztućce na stół.

- To nieprawda! - krzyknęła.

Olav uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy bym tego nie pomyślał o Eriku. Ale w końcu zachował się jak mężczyzna.

Matka przestała jeść i wpiła wzrok w ojca.

- Nie powiedziałaś mi o tym, mężu - rzekła z wyrzutem.

Ojciec pochylił się nad stołem.

- Bo nic ci do tego! - Rozejrzał się po pokoju, nie zwracając uwagi na żonę. Znowu spojrział na Vigdis. - Nie może być dwóch kobiet w jednym małżeństwie. To hańba. Erik, rzecz jasna, nie znalazł innego wyjścia, jak tylko pozwolić ci odejść.

Vigdis uniosła się z wolna, serce tłukło jej się w piersi.

- Ja stąd nie wyjadę, ojczy. Erik jest moim mężem i ja go kocham. - Ogarnęła ją panika. Za nic nie chciała wracać do domu.

Matka chrząknęła.

- Będziesz musiała, droga córko. Trzeba brać pod uwagę, co ludzie mówią.

- Nic mnie to nie obchodzi - przerwała jej Vigdis. Olav wpychał jedzenie do ust. Rozmowa najwyraźniej wcale go nie interesowała.

Ojciec klasnął w dłoń.

- Będziemy tu zjadać to wyszukane jedzenie, a kiedy skończymy, pójdziesz i się spakujesz. I ani słowa więcej w tej sprawie.

- Ja nie jadę do domu - upierała się Vigdis.

Twarz ojca poczerwieniała.

- W głowie ci się pomieszało, Vigdis? Ja się na to nie zgadzam. Teraz wracasz pod mój dach i niech Bóg cię broni, jeśli...

- Dość! - Olav uderzył pięścią w stół. - Zwracasz się do mojej małżonki. Nie chcę słuchać, że tak ją traktujesz!

Ojciec przestał przeżuwać i podejrzliwie łypał na Olava.

- Co ty wygadujesz? Vigdis nie jest twoją żoną. Co się z tobą dzieje?

Olav spoglądał na niego uparcie. Wstał, oparł ręce o blat stołu i powiedział:

- Wracaj do swojego pokoju, Vigdis.

Ona dostrzegła w tym pewną szansę i wybiegła. Ostatnie, co usłyszała, zanim zatrzasnęła drzwi, to słowa matki:

- Czyż to nie jest dom wariatów?

Vigdis zamknęła się w swoim pokoju i przekręciła klucz w zamku. Nikt nie wysłał jej do rodziców.

To okropne, że Olav czasami sądzi, iż ona jest jego żoną. Rozum mu się mąci, żyje przeszłością.

Położyła się na łóżku i wpatrywała w sufit. Leżała tak długo i pozwalała myślom błądzić, ale nagle, słysząc gniewne głosy za drzwiami, zerwała się na równe nogi.

Ojciec kłócił się z Olavem. Vigdis wstała z łóżka i schowała się w kącie. Siedziała cichutko jak myszka i wsłuchiwała się we wściekły głos Olava.

- Ja się stąd nie wyniosę, dopóki Vigdis z nami nie pojedzie - wrzasnął nagle ojciec za jej drzwiami.

Przestała oddychać, kiedy zobaczyła, że ktoś naciska klamkę.

- Wpuść mnie, Vigdis.

Słuchała wściekłego głosu ojca i nie była w stanie się ruszyć.

- Szarpanie klamki jest bez sensu, Vigdis tam nie ma. Uciekła.

I potem znowu głos ojca:

- Nie wierzę w ani jedno słowo. Drzwi są przecież zamknięte na klucz.

- Drzwi do pokoju mojej małżonki są zawsze zamknięte na klucz.

Vigdis przesłoniła usta dłonią i stłumiła jęk, gdy znowu rozległo się bębnienie.

- Vigdis, wpuść mnie.

- Odejdź! - wrzasnął Olav i Vigdis musiała się uśmiechnąć, bo wyobraziła sobie, co się dzieje na korytarzu.

Nigdy by nie przypuszczała, że Olav jej pomoże.

- Wynoś się z mojego domu, bo poślę po lensmana!

Odetchnęła, słysząc oddalające się kroki, znowu położyła się na łóżku.

Na razie zagrożenie minęło, ale co ją jeszcze czeka? Olav prawdopodobnie nie przestanie jej nachodzić i żądać, by poszła z nim do łóżka. Sama myśl była nie do zniesienia. Czy dobrze postąpiła, że została tutaj, skoro Erik chciał się jej pozbyć? Nie umiała na to odpowiedzieć, ale najgorsze, co mogła zrobić, to wrócić do domu z rodzicami. Jedyna nadzieja to odnaleźć Erika i przekonać go, że nie może jej odesłać. Teraz to ważniejsze niż kiedykolwiek.

## Rozdział 3

Amalie jak szalona galopowała przez łąki. W nocy spała źle, wstała wcześniej rano i teraz jest w drodze do pani Vinge.

W dalszym ciągu miała wrażenie, że jej ciało otacza jakaś zła siła. Za wszelką cenę musi się rozmówić z tą kobietą.

Lał deszcz, nie widziała prawie nic wokół siebie. Kiedy mijały zagajnik, Czarna zaczęła się niepokoić, rozdymała chrapy, piana kapła jej z pyska. Amalie ściągnęła lejce i poprowadziła klacz wąską ścieżką, gdzie z ziemi sterczały korzenie.

Panował tu półmrok, woda ciekła z gałęzi. Mimo deszczu i chłodu Amalie uważała, że w lesie jest przyjemnie. Czuła się tu wolna, myślała trzeźwo, mimo dręczącego ją nieustannie niepokoju.

Widziała przed sobą światło i przez cały czas w jej głowie brzmiała hipnotyzująca muzyka z bagien. Nie była w stanie się od niej uwolnić.

Amalie minęła wieś pogrążoną w ciszy. Była niedziela, dla większości mieszkańców dzień wolny. Miała nadzieję, że pani Vinge wróciła z kościoła.

Obejście pani Vinge leżało na wzniesieniu. Dom mieszkalny był biały, obora wielka, a inne budynki gospodarcze wzniesiono pod lasem.

Zadbane gospodarstwo, pomyślała, kierując Czarną ku bramie.

Kopyta uderzały o ziemię, Amalie siedziała wyprostowana w siodle, włosy powiewały jej na wietrze, uderzały po twarzy.

Na dziedzińcu zatrzymała konia, zsiadła i przywiązała go przy drzwiach stajni.

Podszedł do niej parobek z czapką w ręce.

- Kogo pani szuka? - spytał.

- Chciałabym rozmawiać z panią Vinge.

- W takim razie proszę wejść do domu. Pani jest w salonie - rzekł, kłaniając się.

Przed wejściem do domu przystanęła. Czy naprawdę może tak po prostu tutaj wkroczyć? Z wahaniem otworzyła drzwi.

Na wielkim kominku płonął ogień. Poszła w prawo, bo wiedziała, że tutaj znajduje się duży salon. Zdecydowała się zajrzeć.

Zobaczyła panią Vinge, która siedziała w fotelu i szyla. Na widok gościa robótka wypadła jej z rąk.

- Amalie? - spytała zdumiona.

- Tak, jak widzisz, żyję. Ale nie dzięki tobie. Chyba się domyślasz, dlaczego chcę się z tobą rozmówić.

Pani Vinge zapraszała ją gestem.

- Na Boga, wejdz i usiądź.

Jak na to, co ta kobieta przeżyła wczoraj, wygląda bardzo dobrze, pomyślała Amalie, rozglądając się wokół. Wyposażenie pokoju składało się z ciemnego drewnianego stołu i wygodnej kanapy z żółtoniebieskim obiciem.

To musi być prywatny pokój gospodyni, pomyślała Amalie, siadając. Pani Vinge westchnęła i patrzyła na nią zawstydzona.

- Nie miałam zamiaru od ciebie uciekać, ale kiedy zobaczyłam ostre światło na bagnach, śmiertelnie się przeraziłam. Po prostu straciłam rozum, nie byłam w stanie myśleć. Chciałam tylko znaleźć się jak najdalej od tamtego zła. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz - dodała.

- Ja tymczasem byłam bliska śmierci - wykrztusiła Amalie, dziwiąc się równocześnie, że gotowa jest przyjąć tłumaczenie pani Vinge.

Tamta patrzyła wprost na nią.

- Powinnam była wrócić i zobaczyć, co się z tobą stało, ale ze strachu nie byłam w stanie nic zrobić. Zresztą byłaby to i tak spóźniona pomoc.

- A nie mogłaś przynajmniej spróbować? Rumieniec wstydu pojawił się na twarzy gospodyni.

- Bardzo mi przykro, że ci nie pomogłam, Amalie. Ale to miejsce odmieniło nas obie, musisz zrozumieć.

- A nie jesteś ciekawa, jak się stamtąd wydostałam? - spytała Amalie, patrząc na panią Vinge.

- Ja wiem, kto cię uratował - odparła tamta.

- Tak? A skąd?

- To był Andreas. Plotki już się rozniosły. Spotkałam w kościele parę osób, które mówiły tylko o tobie. Ale tym razem, Amalie, ja cię ostrzegłam. Tylko to chciałam powiedzieć.

Amalie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Muszę ci wierzyć, choć przyznam, że nie jest to łatwe. Ty zawsze wyrażałaś się o mnie jak najgorzej.

Pani Vinge prychnęła.

- Co ty możesz wiedzieć? A pominąwszy wszystko inne, lepiej się teraz znamy, prawda? Więc chyba pozwólmy, by przeszłość pozostała przeszłością, nie sądzisz?

Domyślała się, że gospodyni chce zostać z nią sama, żeby Amalie nie wygadała, iż pani Vinge zakochana była w Jensie. Niepotrzebnie, bo Amalie zdecydowana była milczeć. Za nic nie chciałaby sprawić przykrości Helene. Wie o tym tylko Andreas, trzeba mieć nadzieję, że on matce nic nie powie.

Pani Vinge wstała i zadzwoniła na służącą.

- Musisz napić się kawy, zanim wyjdiesz.

- Dziękuję, chętnie.

Pani Vinge znowu usiadła naprzeciwko.

- Strasznie jestem ciekawa, czy miałaś wczoraj jakieś wizje.

- Nie, nie miałam. - Amalie pokręciła głową. - Pozostaje tajemnicą, jak Jens umarł. Byłam tam kilka dni przed Juliušem i wtedy czułam, że ten człowiek stoi poza wszelkim podejrzeniem, ale teraz nie jestem już taka pewna. Możliwe, że z Jensem stało się coś takiego jak z nami. Miejsce, w którym byliśmy, jest złe. Czułam to całą sobą, ty zresztą także.

Pani Vinge westchnęła i znowu sięgnęła po robótkę.

- Tak, to paskudne miejsce. Pomyśleć, że to ja musiałam przeżyć coś takiego. Ja, która nigdy nie wierzyłam w istnienie zła.

Służąca przyniosła tacę z kawą i ciastem. Kiedy wyszła, pani Vinge długo patrzyła w ślad za nią.

- Nie lubię tej dziewczyny, ale muszę ją tu trzymać.

- A to dlaczego?

Pani Vinge zaczęła nalewać kawę do filiżanek.

- Podejrzewam, że mnie okrada, ale nie mam jeszcze pewnych dowodów.

- To straszne, musisz ją zwolnić.

Pani Vinge pokręciła głową i napiła się kawy.

- Nie, jeszcze nie pora, ale nie spuszczam jej z oka. - Odstawiła filiżankę. - A teraz muszę pojechać do Helene. Wybierzesz się ze mną?

Amalie zachłysnęła się kawą i długo kaszłała.

- Nie możesz odwiedzić Helene.

- Muszę - odparła pani Vinge. - Bo jak nie, to nabierze podejrzeń. Helene jest moją przyjaciółką, rozumiesz.

No chyba tak, pomyślała Amalie wzburzona, uśmiechając się cierpko.

- Dobrze, na chwilę mogę tam wstąpić. Dawno z nią nie rozmawiałam.

Amalie jechała przodem, pani Vinge w powozie za nią. Na szczęście przestało padać, teraz nad ich głowami śpiewały ptaki. Amalie zmusiła Czarną do galopu, nie słuchała krzyków pani Vinge, chciała jak najszybciej dotrzeć do dworu.

Zatrzymała się na dziedzińcu i oddała konia stajennemu.

- Szuka pani gospodyni? - spytał uprzejmie.

- Tak. A jest w domu?

Chłopak przytaknął.

- Owszem. Zajmę się pani koniem.

- Dziękuję, ale chyba najpierw powinieneś zająć się powozem pani Vinge.

Twarz służącego pociemniała.

- To ona też przyjechała?

Amalie była zaskoczona jego reakcją, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Zaraz tu będzie.

Razem z chłopcem ruszyła w stronę zbliżającego się powozu. Pani Vinge wysiadała niezadowolona.

- Strasznie dużo kurzu na tej wiejskiej drodze. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Amalie przytaknęła.

- To prawda, ale dzisiaj nie masz na co narzekać. Droga pokryta jest błotem. Nie przejmuj się odrobiną brudu,

- Zauważyłam, że ty się nie przejmujesz. Pędzisz jak szalona. Chodźmy już, Helene patrzy na nas zza firanek.

Amalie spojrzała w okno. Rzeczywiście, zauważyła jakąś postać.

- Dziwne, że nie wyszła się z nami przywitać - powiedziała, podążając za panią Vinge.

- Helene teraz taka jest. Pograżona w żałobie.

- Rozumiem ją. To musi być dla niej trudne - powiedziała Amalie, pukając do drzwi.

- Obie cierpimy - wtrąciła pani Vinge.

Amalie miała ochotę odpowiedzieć jej coś złośliwego, ale drzwi się właśnie otworzyły i w progu stanęła Helene. Popatrzyła na Amalie.

- Co ty tu robisz?

Amalie zauważyła, że tamta bardzo schudła.

- Odwiedziłam panią Vinge akurat, kiedy wybierała się do ciebie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Helene uśmiechnęła się blado.

- Przeszkadzasz? Od śmierci Jensa prawie nie widuję ludzi. Nikt nie ma odwagi przychodzić do wdowy.

Pani Vinge odsunęła Amalie i weszła do środka. Jej twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

- Ja wybierałam się do ciebie wiele razy, ale zawsze coś stawało mi na drodze. Teraz jednak pomyślałam, że dłużej odkładać tego nie można. Przykro mi, że tak długo to trwało.

Amalie skuliła się na dźwięk jej przymilnego głosu. Nie była pewna, czy pani Vinge mówi to, co myśli.

- Wejdźcie, bardzo proszę - zapraszała Helene, otwierając drzwi jak szeroko. - Czy wszystko dobrze, droga Vinge?

Amalie odniosła wrażenie, że pokój jest smutny i zimny, widocznie to odpowiada nastrojowi Helene.

Gospodyni usiadła naprzeciwko Amalie i westchnęła.

- Mam za sobą trudne dni, możecie mi wierzyć. Na szczęście Andreas potrafi mnie pocieszyć.

- A gdzie jest teraz twój syn? - spytała Amalie.

- W lesie, ale spodziewam się go w każdej chwili.

Pani Vinge uśmiechnęła się od ucha do ucha.



- Twój syn to naprawdę przystojny mężczyzna. Powinnaś lepiej o niego dbać. Bo może się zdarzyć, że jakaś ładna dziewczyna wywabi go z dworu.

- Andreas nie ma czasu myśleć o dziewczynach - odparła Helene.

- Jesteś pewna? - spytała pani Vinge, splatając dłonie.

Służąca podała kawę, pani Vinge zajęła się nalewaniem do filiżanek.

- Gdzieś ty znalazła taką miłą służącą?

- Pochodzi z Kirkencøer. Jestem z niej bardzo zadowolona, jest pracowita i w ogóle.

Amalie czuła się zbędna, zastanawiała się, dlaczego panie nie rozmawiają o Jensie. Aż się paliła, by opowiedzieć Helene o przeżyciach na bagnach, ale jak tylko otworzyła usta, pani Vinge natychmiast jej przerwała.

- My z Amalie byliśmy wczoraj na mokradłach, tam, gdzie znaleziono Jensa. Tak, zabrałam ją ze sobą, bo miałam nadzieję, że może będzie miała jakieś wizje. Ale ona nic nie zobaczyła. Sprawia mi to ból, Helene. Miałam nadzieję, że prawda wyjdzie na jaw.

Helene westchnęła.

- Dlaczego tam pojechałaś?

- Nie uważasz, że to ważne, by wyjaśnić, dlaczego Jens umarł? - odpowiedziała tamtą pytaniem.

Helene zaczęła żuć kawałek ciasta.

- To ważne, ale nie wierzę, by Amalie tak po prostu była w stanie przywołać wizję. Poza tym ona jest podejrzewana o zamordowanie Jensa, choć ja w to nie wierzę.

Pani Vinge najpierw zrobiła przerażoną minę, a potem pochyliła się ku gospodyni.

- To nie jest wina Amalie. W chwili zamroczenia umysłowego powiedziałam lensmanowi, że widziałam ją na miejscu przestępstwa. Ale mógł to być ktoś do niej podobny, wszystko zdarzyło się spory kawałek od bagna. Długo się potem zastanawiałam i myślę, że popełniłam błąd, dlatego zrobię wszystko, by naprawić szkodę, jaką wyrządziłam. Najszybciej jak to możliwe pojedę do lensmana i powiem, że tamtego dnia się pomyliłam.

Helene siedziała z otwartymi ustami.

- Wszyscy we wsi wiedzą, że lubisz plotkować. Ale nigdy nie sądziłam, że posuniesz się tak daleko, by oskarżyć kogoś o morderstwo.

Pani Vinge wstrząśnięta, przyglądała się Amalie.

- Nie zrobiłam tego naumyślnie. Ty mi wierzysz, prawda, Amalie? Strasznie mi przykro, że gadałam bez zastanowienia.

Amalie przytaknęła.

- Tak, już to zrozumiałam i gotowa jestem puścić wszystko w niepamięć, jeśli lensman zostanie poinformowany. - Zwróciła się teraz do Helene: - Ty wiesz, że od dzieciństwa miewałam wizje. Kto jak kto, ale ty o tym wiesz.

Tamta odwróciła wzrok.

- Owszem, słyszałam to i owo, ale człowiek nie musi w coś takiego wierzyć. Zwłaszcza, że sama nigdy niczego podobnego nie doświadczyłam. Dlaczego nikomu nie powiedziałaś, że twój ojciec był zakapturzonym? Ani że to on zamordował mojego syna, Oddvara?

Te słowa zaboląły Amalie.

- Rozumiem, że trudno to było pojąć. Ale ja sama nie decyduję o tym, co zobaczę. Nie potrafię wywołać wizji, one po prostu albo się pojawiają, albo nie. Ale nie rozmawiajmy teraz o tym, Helene. Nie czujesz się dobrze.

Pani Vinge nałożyła sobie kawałek ciasta na talerzyk.

- A ja uważam, że powinniśmy rozmawiać, Amalie. Dlaczego nie opowiesz o postaci na bagnach? Obie zostałyśmy przyciągnięte przez coś złego. Omal się nie potopiłyśmy, Helene. Obie!

Gospodyni jęknęła i przesłoniła usta dłonią.

- Co ty mówisz? Coś widziałyście na bagnach? Amalie przytaknęła.

- Tak, i naprawdę było to coś złego. Moim zdaniem duch wodny.

- Co? Żadne takie duchy nie istnieją. To zwyczajny przesąd.

- Nie, żaden przesąd - zaproponowała pani Vinge.

- My tego nie wymyśliłyśmy, Helene.

- Uważam, że powinniście już sobie pójść - oświadczyła Helene z ponurą miną. - Przyszłyście tu, żeby mnie dręczyć.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Andreas.

- Jak miło cię widzieć, Amalie. I panią Vinge też - powiedział uprzejmie. - Dlaczego nie wierzysz w wodnego ducha, mamó? - spytał.

- Ty się do tego nie mieszaj, Andreas - westchnęła Helene.

Mężczyzna uważnie przyjrzał się matce.

- Ja myślę, że Amalie mówi prawdę. Ona faktycznie coś widziała.

Amalie ucieszyła się, że wziął jej stronę. A kiedy mrugnął do niej porozumiewawczo, ogarnęła ją fala ciepła.

- I naprawdę myślisz, że to jakiś duch porwał Jensa? - spytała Helene, zwracając się do Amalie.

- Nie mam pojęcia, ale to nie jest nieprawdopodobne. Zwłaszcza po tym, co przeżyliśmy obie z panią Vinge.

- Byłem tam dzisiaj i też czułem, że nad bagnami unosi się jakieś zło - potwierdził Andreas.

- Pewnej odpowiedzi nigdy nie otrzymamy - westchnęła pani Vinge.

Amalie splotła palce rąk.

- Kiedy byłem tam po raz pierwszy, myślałam, że to jakiś człowiek odebrał życie Jenso-  
wi. Widziałam przed sobą męską rękę, ale teraz nie do końca w to wierzę.

- No właśnie to przez cały czas powtarzam - rzekła pani Vinge, kręcąc głową.

Andreas usiadł obok Amalie i nalał sobie kawy.

- Nic nie wskazuje na to, że ojciec został zastrzelony lub zadźgany nożem. Pan Finkel  
twierdzi też, że nie został uduszony. Dlatego uważam, że sprawa jest tajemnicza, ale przecież  
mógł zabłądzić i utonąć.

- Wystarczy już tego! I tak nigdy nie odzyskam Jensa! - jęknęła Helene, zasłaniając oczy  
dłonią.

Pani Vinge wstała.

- Rozumiemy cię, ale...

Helene wpiła w nią wzrok.

- Wyjdźmy na dwór. Potrzebuję powietrza.

- Pójdę z wami - oznajmiła Amalie, lecz Andreas pokręcił głową.

- Zostań, muszę z tobą porozmawiać.

Kiedy panie wyszły, przysunął się tak, że dotykał udem jej ciała. Kiedy się cofnęła, bąk-  
nął:

- Przepraszam, nie chciałem...

- Nic nie szkodzi - odparła cicho. Co widziała w jego oczach? Pożądanie?

- Wiem, że Brage rozpuszcza o mnie plotki - powiedział Andreas. - Nie podoba mi się to.

Amalie przypomniała sobie słowa Bragego: „Andreas przeciął sobie ramię”.

Teraz Andreas zawiązał rękaw od koszuli, na ręce nie było żadnych śladów.

- Ja nie jestem wariatem, Amalie, to są tylko złośliwe plotki. Jestem zdrowy i żyję wła-  
snym życiem.

- Wiem, Andreas. Zawsze wierzyłam, że jesteś zdrowy.

- Brage przyszedł tu i mi groził - powiedział mężczyzna.

- Dlaczego?

- Chodziło o ciebie, Amalie - westchnął wzburzony. - Widział nas wspólnie na polowaniu i wściekł się. Powiedział, że ty należysz do niego.

Amalie nie mogła w to uwierzyć.

- Ale my nigdy... Ja nigdy nie dałam mu do zrozumienia, że...

- Brage to niebezpieczny człowiek. On ciebie pragnie! Dlatego rozsiewa te okropne pogłoski. Musisz mieć się na baczności, Amalie. On jest w stanie zrobić wszystko, by dopiąć swego.

- Tak, Andreas. Wiem. Położył rękę na jej dłoni.

- Bardzo cię lubię, Amalie. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dostałam list od Bragego, zanim stąd wyjechał.

- I co napisał?

- Że wyjeżdża.

- Nie wierzę w ani jedno słowo. Mnie powiedział co innego.

Amalie z trudem przełknęła ślinę. Nagle poczuła się jakoś dziwnie. Wróg grozi, powiedział ostrzegawczy głos w jej duszy.

- Co takiego ci mówił? - wykrztusiła.

- Że gotów jest iść po trupach, by cię zdobyć. A ostatnio w naszych okolicach trupów było aż nadto.

- Kogo jeszcze masz na myśli? Majnę? Andreas nagle zaczął mówić podekscytowany:

- Czyż to nie dziwne, że zarówno ludzie będący blisko z tobą, jak i twoi wrogowie nagle umierają?

Amalie pokręciła głową.

- Nie, nigdy tak o tym nie myślałam.

- No to może powinnaś zacząć. Jestem pewien, że Brage czai się gdzieś tutaj i nie spuszcza z ciebie oka. On jest szalony.

Amalie zagryzła wargi.

- Tak, teraz zaczyna to do mnie docierać.

Andreas położył rękę na jej barku i zanim zdążyła zareagować, zaczął ją całować. Stali tak przez jakiś czas. Amalie poddawała mu się bez oporu, lubiła jego ciepłe, delikatne wargi, ale kiedy poczuła mrowienie pod skórą, cofnęła się.

Mężczyzna przyglądał jej się z powagą.

- Musimy zapomnieć o tym, co było między nami, Amalie. Ale nie mogłem sobie odmówić, aby nie pocałować cię ostatni raz. Za szybko to wszystko poszło, nie miałem takiego zamiaru - westchnął. - Ale kto by ci się oparł? Powinienem zdać sobie z tego sprawę zaraz, jak wróciłem, i powinienem posłuchać... - Chrząknął. - Za kilka dni wracam do Kristianii\*.

\* Kristiania - do roku 1877 stolica Norwegii nosiła nazwę Christianii, od 1877 do 1924 znana jest jako Kristiania. (przyp. red.)

- Co? - Amalie ogarnęło rozczarowanie. - To nasze pocałunki nic dla ciebie nie znaczą?

- Moja kochana. - Ostrożnie przesunął palec po jej policzku. - Muszę jechać, Amalie. Miałem zostać w Fińskim Lesie tylko przez jakiś czas, ale potem ojciec zmarł, więc zostałem dłużej.

- Ale... Nie możesz... - Amalie kręciła głową.

- Do zobaczenia, Amalie. Muszę jechać i mam nadzieję, że to rozumiesz. - Pośpiesznie wyszedł z salonu.

Zaraz potem pojawiła się pani Vinge.

- Wracam do domu, Amalie. Powiedz mi, dlaczego Andreas wypadł stąd, jakby diabeł deptał mu po piętach?

- Nie mam pojęcia - odparła Amalie.

Nie zamierzała informować tej kobiety, o czym rozmawiali. Nagle poczuła się bardzo samotna.

## Rozdział 4

Edna rozejrzała się. Była zadowolona z tego, co dostała. Dzieci się najadły, a kucharz robił wszystko, co mógł, by czuły się dobrze.

Uśmiechała się, spoglądając na bezkresne morze, wzburzone fale pokrywały się białą pianą. Z oddali docierał krzyk mew, a na horyzoncie majaczyła wyspa.

Ludzie wychodzili na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Znowu zauważyła kobietę, która dzieliła się ze swoimi dziećmi chlebem. Wyglądała na bardzo wyczerpaną. Czyżby była chora?

Kiedy Edna przechodziła obok, tamta uśmiechnęła się. Po chwili zobaczyła, że usiadła na jakiejś beczce i trzęsie się z zimna.

- Coś ci dolega? - spytała Edna, siadając obok.

- Nie czuję się zbyt dobrze, a mój najmłodszy synek leży z gorączką - odparła kobieta.

Edna spojrzała na nią przerażona.

- Co?

- On ma tę samą wysypkę co ja.

Edna popatrzyła na skórę tamtej i zadrżała. Wiedziała, co to oznacza.

- To wygląda na ospę - wykrztusiła. Kobieta przytaknęła.

- Tak, chyba tak.

Edna odskoczyła gwałtownie.

- Dlaczego tutaj siedzisz? Możesz zarazić cały statek.

- Wiem, ale potrzebowałam powietrza. Na dole jest strasznie gorąco, dostałam mdłości od smrodu.

- Muszę uprzedzić kapitana. Może na pokładzie jest lekarz.

Kobieta pokręciła głową.

- Nie, nie ma.

- W każdym razie muszę porozmawiać z kapitanem. Powinien się tym zająć.

- Nie sądzę, żeby on się nami przejmował - odparła chora kobieta.

- Ale musi - powiedziała Edna stanowczo.

W jakiś czas potem stanęła przed drzwiami kapitańskiej kajuty. Zapukała i wkroczyła do środka. Światła lamp chybotwały się w przeciagu, kapitan odpoczywał na wąskim łóżku. Uniósł głowę i wytrzeszczył oczy.

- Co ty tu robisz, na Boga? - spytał zirytowany.

Edna zamknęła za sobą drzwi.

- Na pokładzie jest choroba.

- Co ty wygadujesz? - kapitan uniósł brwi.

- Pewna kobieta i jej dzieci mają wysypkę.

Mężczyzna zerwał się z łóżka, pozapinał guziki munduru!

- Jeszcze tylko tego brakowało! A na pokładzie nie ma doktora. - Rozejrzał się po kajucie, potem wyciągnął na podłogę czarną torbę. - Mam tu torbę lekarską, chociaż nie sądziłem, że na pokładzie wybuchnie choroba. Podróżni mają surowo przykazane, by myć się codziennie i oddychać świeżym powietrzem tak często, jak to tylko możliwe.

Edna otworzyła drzwi, kapitan wybiegł na zewnątrz.

- A ty wracaj do swojej kajuty i siedź tam, dopóki nie znajdę jakiegoś rozwiązania.

- Dobrze, kapitanie - zgodziła się Edna.

Kiedy zniknął, poszła do siebie. Panował tam zaduch, zrobiło jej się niedobrze. Statek przekrzywił się gwałtownie na bok, musiała przytrzymać się ściany. Była zrozpaczona, przecież nie może się teraz rozchorować.

Słyszała o chorobach, które rozprzestrzeniają się gwałtownie. Bywa, że poważne epidemie wybuchają w drodze do Ameryki. Edna siedziała obok tamtej kobiety. Dawała jedzenie jej synkowi, a teraz oni oboje są chorzy.

W rozpaczę położyła się na łóżku. Myśli wróciły do Erika. Do tamtego dnia, kiedy zostali sobie poślubieni. Urządzili wielkie przyjęcie, a Erik był z niej taki dumny. Noc spędzili na górskim pastwisku i Edna była bardzo szczęśliwa. Ale Olav zaczął się mieszać do ich małżeństwa już pierwszego dnia, kiedy przybyli do Kristianii. Miało się to okazać brzemiennie w skutki.

Przeżyli razem rok, aż Olav zamknął ją w piwnicy. To niebezpieczny człowiek, manipulujący ludźmi. Nie wierzyła, że ma coś z głową. To tylko gra. Teraz Vigdis jest w domu i prawdopodobnie cierpi tak samo jak ona. Chociaż to jakaś pociecha po tym, co tamta jej zrobiła.

Znowu poczuła się źle, musiała wstać z łóżka. Przycisnęła ręką żołądek i zgięła się w pół. Nie może tkwić w tej kajucie przy takim wzburzonym morzu. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza.



Na pokładzie panował chaos. Ludzie biegali tam i z powrotem, niektórzy wymiotowali, przechyleni przez reling. Dzieci płakały, kobiety starały się je uspokajać.

Edna popatrzyła ponad relingiem, ale cofnęła się. Morze przed nią było niczym czarna dziura. Oburącz trzymała się poręczy, przyglądała się wzburzonej wodzie i czarnemu niebu. Chmury zdawały się przygniatać statek. Wkrótce na jej głowę spadły pierwsze krople deszczu.

- Zaczyna się sztorm!

Edna odwróciła się i zobaczyła młodego chłopca, który biegł w kółko i wrzeszczał przerażony. Zastanawiała się, kto to może być, ale zaraz jej uwagę zwróciła kobieta w połataniej sukni wychylająca się przez reling. Wichura szarpała jej ubranie, unosiła w górę włosy, Edna miała problemy z utrzymaniem się w pionie. Powinna natychmiast wracać na dół. Deszcz zaciął, zalewając jej twarz, wichura raz po raz ciskała na pokład wielkie ilości morskiej wody.

W pewnym momencie dostrzegła kapitana i zaczęła się przeciskać między ludźmi, by do niego dotrzeć. On z zatroskaną miną wpatrywał się w morze.

Kiedy podeszła, spojrzał na nią.

- Ach, to ty. Dobrze myślałaś, kobieta ma ospę, ona i jej syn odbywają kwarantannę. Tylko tyle mogłem na razie zrobić. Musimy mieć nadzieję, że nie zaraziła innych. - Pokręcił głową. - Patrz na morze, zaraz rozpęta się piekło.

Na moment musiała chwycić się ręki kapitana, a on pociągnął ją do kajuty.

- Posłuchaj mnie teraz - powiedział surowo. - Zamkniesz się tutaj i nie będziesz wychodzić. Poleciałem załodze, by wszystkich ludzi sprowadzić pod pokład, ale nie każdy chce tego słuchać.

Edna świetnie ich rozumiała. Siedzenie pod pokładem jest jeszcze gorsze niż sztorm. Czowała narastające mdłości, kręciło jej się w głowie. Mimo wszystko musiała posłuchać kapitana.

- Zejdę tam natychmiast.

- Świetnie. A ja będę miał czas zająć się innymi pasażerami.

Edna zeszła po wąskim trapie, trzymając się oburącz barierek. Próbowwała stłumić mdłości. Kiedy nareszcie zobaczyła przed sobą kajutę, ukazał jej się kucharz Hermann.

- Nigdy jeszcze nie przeżyłem takiego sztormu. Mam nadzieję, że wyjdziemy z tego żywi - powiedział przerażony.

- Strasznie mnie mdli - żaliła się Edna, otwierając drzwi do kajuty.

- Z czasem przyzwyczaisz się do kołysania. Wiem, jak się teraz czujesz, ale połóż się i spróbuj trochę odpocząć. Zajrzę do ciebie później. W tych warunkach nie jestem w stanie szykować jedzenia.

Edna skinęła głową, a kucharz zniknął na końcu korytarza. Powlokła się w stronę łóżka, czuła, że zaraz zwymiotuje. Nie! Musi wyjść na powietrze! Biegła korytarzem, objając się nieustannie o ściany, bolał ją bark, ale w głowie miała tylko jedno: wyjść na świeże powietrze. Żaden sztorm nie był w stanie jej powstrzymać.

Weszła po schodach i otworzyła drzwi, a wtedy uderzył w nią gwałtowny poryw wicheru.

Na pokładzie było mnóstwo ludzi; Słyszała, jak kapitan do nich przemawia.

- Musicie zejść na dół. Tutaj jest niebezpiecznie! - powtarzał raz po raz, ale nikt go nie słuchał.

Widziała, że większość choruje, dosłownie wisieli przetrzuceni przez reling, nie przejmując się wicherem.

Edna dotarła do bariery w momencie, kiedy nie mogła już powstrzymać wymiotów. Ogarnęło ją przerażenie. Czym to się skończy?

Kapitan wrzeszczał i pasażerowie zaczęli w końcu ruszać w stronę luku. Wszyscy mieszkali stłoczeni pod pokładem. Edna zdała sobie sprawę, że ona jednak ma szczęście.

Nienawiść wobec Vigdis, która sprawiła, że znajduje się na tym statku, gdzie się ulotniła. Znowu przyszedł kucharz.

- Co się dzieje? - spytała.

- Kapitan jest beznadziejny. Nie pozwala mi w tym sztormie szykować jedzenia dla pasażerów. Musicie radzić sobie sami.

- Ale to niesłychane!

- Tak, tylko że ja nie mam nic do powiedzenia. A ta kobieta chora na ospę czuje się znacznie gorzej. Nie wiem, co z nią będzie.

- Mogłabym do niej pójść.

- Nie! To niebezpieczne. Możesz się zarazić.

Edna myślała tak samo, ale przecież ta kobieta ma dzieci, którymi trzeba się zająć. Edna odniosła wrażenie, że kobieta podróżuje tylko z nimi. Trzeba się dowiedzieć, jak sobie radzą.

- Ja się nie boję - odparła z uporem.

Zrobiła krok naprzód, ale akurat w tym momencie sztorm rzucił statek na bok i kucharz upadł na Ednę. Ona wciąż trzymała się barierki i jakoś pomogła mu się podnieść. Spojrzała mu w oczy.

Przerażona, cofnęła się gwałtownie.

- Co ty robisz? - spytała.

Hermann coś w niej obudził. Coś, czego od dawna nie odczuwała. Pożądanie.

## Rozdział 5

Vigdis nie mogła zaznać spokoju, chodziła tam i z powrotem. Wciąż nie wiedziała, co zrobić. Jakiś czas temu słyszała, że Erik wrócił. Zatrzymał się przed jej drzwiami, ale w końcu poszedł dalej i zamknął się w swoim pokoju. Co sobie myśli? Czy chce mieć ją blisko siebie? Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Był wieczór, w mroku mignęła jej konna dorożka.

Zapalono już latarnie, ale było ich niewiele. Smutny wieczór, podobnie jak jej serce.

Cofnęła się i stanęła pośrodku pokoju. Czy powinna się odważyć i pójść do męża? Wtedy usłyszała, że jakieś drzwi się otworzyły, a potem dobiegł ją odgłos kroków. To on!

Nie zastanawiając się, ona też wybiegła. Za jej drzwiami stał Erik z wściekłą miną.

- Co ty tu robisz? Jeszcze nie wyjechałaś? - krzyknął.

Vigdis spojrzała mu w oczy. Serce omal się nie zatrzymało. Gdzie się podziała miłość? Jedyne uczucie, jakie teraz w nim dostrzegała, to nienawiść.

Erik przyglądał jej się z wojowniczą miną, jakby w każdej chwili mógł ją zaatakować. Mimo woli cofnęła się o krok, przełknęła ślinę, słowa więzły jej w gardle. Co miałyby mu powiedzieć?

- Ja... - Znowu napotkała jego wściekłe spojrzenie.

- No? - Przyglądał jej się wyczekująco,

- Ja nie mogę jechać, Erik. Ty także o tym wiesz. Kocham cię i...

On oparł się o futrynę.

- To są głupstwa, Vigdis.

- Ale - Erik ostrzegawczo uniósł rękę.

- Nic więcej nie mów. Za dobrze cię znam i wiem, ile twoje tłumaczenia są warte.

Vigdis spuściła wzrok.

- Ja mówię prawdę, Erik. Bardzo cię kocham. - Jej oczy napęłniły się łzami.

Zaczęła płakać. Słyszała, że on westchnął.

- Naprawdę nie wiem, co mam robić. Kochałem cię, Vigdis, ale teraz już sam nie umiem powiedzieć, co czuję. Między nami stoi Edna. Ją kochałem najpierw, a teraz straciłem zaufanie do ciebie. Obawiam się, że ją zraniłaś. A co to oznacza, że kobietę, którą myślałem że kocham, podejrzewam o takie okrutne czyny?

Vigdis słyszała rozpacz w jego głosie i dostrzegła dla siebie jakąś nadzieję.

- Musisz dać mi możliwość udowodnienia, że przez cały czas byłam wobec ciebie szczerą. Nigdy bym nikomu nie zrobiła krzywdy.

On pokręcił głową.

- Ale przespałaś się z moim ojcem. Myślisz, że kiedykolwiek byłbym w stanie znowu cię tknąć?

Vigdis pogłaskała go delikatnie po policzku.

- To nie było tak, Erik. Twój ojciec przyszedł i mnie zgwałcił. Przecież nie możesz mnie oskarżać z tego powodu. - Z trudem przełknęła ślinę.

Jeśli Erik teraz jej nie uwierzy, będzie zgubiona.

Jego spojrzenie złagodniało.

- Muszę ci wierzyć. Ojciec jest nieobliczalny, ale... szczerze mówiąc, nie wiem. Dlaczego miałby cię gwałcić? On nie jest taki.

- Ja nie kłamię, Eriku. Twój ojciec przyszedł do mnie. Nazywał mnie swoją żoną. Nie wiem, czy bredził, czy tylko udawał, ale mimo wszystko to nie moja wina. To było straszne, Erik.

On zmarszczył brwi.

- Porozmawiam z nim. W końcu wiem, że z nim nie wszystko jest tak, jak powinno.

- Tak, porozmawiaj z nim - wtrąciła zrozpaczona.

- Ale nie tylko to mnie dręczy, Vigdis. Podejrzewam też, że to ty wyrzuciłaś stąd Ednę. Czy mogę ci ufać?

Vigdis zagryzała dolną wargę.

- Nigdy bym niczego takiego nie zrobiła. Nie jestem złym człowiekiem, Erik. A poza tym czy ty wierzysz, że jestem wystarczająco silna, by pokonać Ednę? Spójrz na mnie. Jak miałabym to zrobić? Moim zdaniem to twój ojciec odpowiada za wszystko, co się stało. On nie jest zdrowy. Nie jest dla nas dobrze mieć go w pobliżu.

- Wejdz do pokoju i zamknij drzwi. Ojciec może nas słyszeć - syknął Erik.

Vigdis posłuchała, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Erik chodził po pokoju tam i z powrotem.

- Muszę przyznać, że do ciebie też wciąż żywię uczucia. Ale to wszystko, co się stało, mnie przygnębia. Muszę to przemyśleć. I zanim postanowię, co powinienem zrobić...

Vigdis zerwała się i rzuciła mu się na szyję.

- Ja cię kocham, Erik! Bardzo cię kocham.

Uśmiechnęła się, kiedy pogłaskał ją czule po włosach.

- Jestem kompletnie zagubiony. Już sam nie wiem, co czuję, ale... kłamałem, kiedy mówiłem, że cię nie kocham. Chciałem, żebyś cierpiała tak samo jak ja, kiedy myślałem, że mnie zdradziłaś.

Wszystko w jej duszy pękło. Znowu wybuchnęła płaczem i tuliła się do niego.

- Możemy zacząć od nowa. Daj mi tylko szansę.

- Dobrze, Vigdis. Możemy podjąć próbę, ale najpierw muszę porozmawiać z ojcem.

- Uważam, że powinieneś zrobić to niezwłocznie. Nie ma na co czekać.

Kiedy wyszedł, Vigdis nerwowo splótła palce. Potem opadła na posłanie i przesłoniła twarz rękami. Co też Olav powie Erikowi?

Vigdis nie rozmawiała z Erikiem, odkąd poprzedniego dnia wyszedł z jej pokoju. Słyszała z salonu głosy jego i ojca. Klócili się głośno, potem były już tylko szybkie kroki na korytarzu i trzask zamykających się drzwi.

Wczoraj nie odważyła się pójść do Erika, ale teraz nastał nowy dzień. Może powinni porozmawiać?

Spoconymi dłońmi poprawiła włosy. Wyprostowała się i zapukała.

- Wejdz! - usłyszała głos Erika.

Otworzyła i przystanęła w progu. On siedział na łóżku, łypnął na nią spod oka.

- A, to ty.

Podeszła bliżej.

- Słyszałam wczoraj, że klóciliście się z ojcem - powiedziała cicho.

Żołądek kurczył jej się ze strachu.

Erik westchnął przygnębiony.

- Tak, jemu się całkiem rozum pomieszał. Mówi, że jesteś jego żoną i może do ciebie przychodzić zawsze, kiedy ma ochotę. Naprawdę nie wiem, co mam z nim zrobić.

- Ale mnie wierzysz? - spytała niepewnie. Erik przytaknął.

- Chyba muszę. - Wstał i zaczął rozpinąć koszulę.

Vigdis stała jak wryta.

- Chcesz się położyć? - spytała, podziwiając jego silne ciało.

- Nie, ale chyba pora, żeby sprawdzić, jak to jest między nami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wykrztusiła, niczego nie rozumiejąc.

- Chcę cię mieć. Zbyt wiele czasu minęło od ostatniego razu. Spróbujemy sprawić, by nasze małżeństwo znowu zaczęło funkcjonować. Przecież ja cię kocham, Vigdis - dodał ochryple.

Serce tłukło się w niej jak oszalałe. Erik chce z nią teraz być! Więc ona da mu wszystko, czego tylko zapragnie.

Podszedł bliżej i wkrótce znalazła się w jego objęciach.

- Byłem taki zdezorientowany, kiedy Edna się znowu pojawiła. Pogodziłem się już z tym, że nigdy nie wróci. Wierzyłem, że odeszła ode mnie z własnej woli - powiedział, zasypując twarz Vigdis pocałunkami. - Wiadomość, że ona przez cały czas znajdowała się tu, w piwnicy, a ja o tym nie wiedziałem, była dla mnie szokiem. Ale przecież to ciebie kocham. Nie istnieje dla mnie żadna poza tobą.

Długotrwały lęk wreszcie opuścił jej ciało. Była taka szczęśliwa, Erik powiedział, że cały czas ją kochał. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, ale słyszała przecież wyraźnie.

Erik cofnął się, usiadł na krawędzi łóżka i wyciągnął swoje długie nogi.

- Chodź do mnie, Vigdis. Będziemy się kochać, jak nigdy przedtem.

Z oczu Vigdis popłynęły łzy. Przysunęła się do niego, ukucnęła i zaczęła głaskać jego silne uda, wciąż patrząc mu w oczy.

Kochała jego uśmiech. Kochała żar w jego oczach i palce, które pieściły jej piersi.

- Chodź, moja piękna - powiedział, pociągając ją ku sobie. Przywarł wargami do jej ust, czuła pulsowanie krwi w żyłach.

Położył się na niej, wciąż zasypywał pocałunkami jej ciało, pieścił językiem jej skórę.

- Strasznie za tobą tęskniłem, Vigdis - powiedział, unosząc głowę.

Wiedziała, że to prawda. Ona też za nim tęskniła.

Amalie biegła do obory. Krowy wyraźnie na nią czekają, ryczą niecierpliwie. Zasnęła, bo myślała o tym, że Andreas wyjedzie z Fińskiego Lasu, nie pozwalając jej w nocy spać. A obiecała, że dzisiaj wydoi kilka krów, żeby służąca mogła odwiedzić rodzinę.

Otulała się chustką. Obłok pary unosił się przy jej ustach, na dworze było jeszcze ciemno.

Kiedy otworzyła drzwi, poczuła ciepło zwierząt. Młodsza służąca już zaczęła poranny udój. Amalie skinęła głową tej chudej, milkliwej dziewczynie, wzięła stołek i podeszła do pierwszej przegrody.

Usiadła, odnalazła wymię i zaczęła doić. Mleko z szumem spływało do wiadra, ale to nie miało dla niej znaczenia. Andreas! Dlaczego on musi wyjeżdżać? Nie rozumiała tego i była coraz bardziej zdezorientowana. Najpierw się do niej zalecał, a teraz nagle odjeżdża.

Krowa zaczęła się irytować, gniewnie podnosiła tylne nogi.

Nagle podeszła do niej służąca.

- Czy pani potrzebuje pomocy?

Amalie spojrzała w jej niebieskie wodniste oczy.

- Nie, wszystko w porządku.

- Jest pani pewna? Ja już wydoiłam wszystkie krowy, została tylko ta jedna. Mogę dokończyć, gdyby pani chciała.

- Wynieś raczej mleko do pralni. Ja sobie poradzę.

- Dobrze - bąknęła służąca i wyszła.

Amalie skoncentrowała się znowu na zdenerwowanej krowie. Za każdym razem, kiedy naciskała wymię, krowa próbowała ją kopnąć.

- No, no - przemawiała do niej przyjaźnie. - Musisz współpracować, bo cię nie wydoję, zostawię mleko w twoim wymieniu - przemawiała cicho i głaskała zwierzę po ciepłym brzuchu.

Wydawało się, że krowa już się uspokoiła, ale nagle silny cios kopyta sprawił, że Amalie spadła ze stołka.

Kiedy się podniosła, zobaczyła, że przed nią stoi Sigmund.

- Co ty tu robisz? - spytała, a serce biło jej gwałtownie ze strachu.

Nie mogła się otrząsnąć z szoku.

Sigmund szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Czyż to sama gospodyni próbuje doić krowy? Chyba straciłaś zdolność obchodzenia się ze zwierzętami. Zapomniałaś, jak to się robi - szydził.

Amalie zadrzała, ale nie chciała odpowiadać na te złośliwości.

- Co ty tu robisz? - spytała znowu.



On rozejrzał się po oborze.

- Przyszedłem sprawdzić, czy radzisz sobie z prowadzeniem dworu, ale widzę, że Tangen podupada. Wielka szkoda. Ole pewnie przewraca się w grobie.

Amalie wróciła do dojenia. Na szczęście krowa się uspokoiła. Sigmund podszedł bliżej.

- Powiedziałem ci coś, nie słyszałaś?

Nie miała ochoty mu odpowiadać. Szok jeszcze nie minął, nie chciała pokazywać, że się go boi.

- Nie obchodzi mnie to, Sigmund. Dwór jest zadbany i wszystko pozostaje w najlepszym porządku.

On oparł się o ścianę przegrody, wciąż z tym złośliwym uśmiechem na ustach.

- Mam wrażenie, że się zaczerwieniłaś. Chyba nie jesteś na mnie zła?

Spojrzała w jego szare oczy, takie podobne do oczu Olego. Ale Sigmund jest złym człowiekiem. Nie ma w nim nic szlachetnego.

- Nie jestem zła - warknęła pośpiesznie.

- Ee, a mnie się jednak wydaje... Ale mnie chodzi o coś innego. Rozglądałam się za Bragem. Nie wiesz czasem, gdzie on się podział? Wstąpiłem do dworu Tille, ale tam nikt nie chciał ze mną gadać. - Pokręcił głową. - Twoja siostra jest brzemienna. Zrobiła się gruba niczym wół - dodał i wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej sądził, że jest zabawny.

- Nie wiem, po co tam pojechałeś. Tamtejsi mieszkańcy nie chcą z tobą rozmawiać. Zapomniałeś już, jak się wobec nich zachowałeś? Ty nie jesteś dobrym człowiekiem, Sigmund.

Śmiech ucichł. Zrobiło się cicho, bardzo cicho. Amalie popatrzyła na Sigmunda i mimo woli cofnęła się. Zrozumiała, że zbudziła śpiącego wilka.

Sigmund wpadł w złość. Pochylił się ku niej.

- A ty powinnaś się mieć na baczności. Jeszcze możesz stracić dwór. Ja mam asa w rękawie. I nigdy nie ustąpię.

Amalie skończyła dojenie i wstała. Popatrzyła na mężczyznę wyniośle.

- Nie przejmuję się twoimi pogrozkami, Sigmund. Nie masz tu już czego szukać. Poza tym sprzedałeś dwór Bragemu. Tangen nie może być dla ciebie aż takie ważne.

- Straciłem sporo pieniędzy z powodu tej Finki, Majny. Całe szczęście, że ona nie żyje. Zasłużyła sobie na to, by utonąć w bagnie. - Stał teraz tuż przed Amalie, a ona poczuła woń alkoholu. Sigmund jest pijany.

Czy mógłby zachować się wobec niej gwałtownie? Próbowała go wyminąć, ale on wyciągnął rękę i zatrzymał ją.

- Muszę odnieść wiadro - powiedziała, próbując opanować strach.

- Nie! Wracaj na miejsce - rozkazał Sigmund.

Amalie musiała posłuchać, usiadła na stołku. Krowa znowu zaczęła się niepokoić. Sigmund klepnął ją w. zad i ukucnął przed Amalie.

- Rozumiem, dlaczego Ole się w tobie zakochał. Jesteś piękną kobietą, Amalie. Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem. Chyba nienawiść wzięła górę. Ale teraz widzę, że jesteś wyjątkowa. Frida jest na mnie wściekła, a ja strasznie potrzebuję kobiety. Rozumiesz?

- Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

Amalie odskoczyła z obrzydzeniem.

- Nie dotykaj mnie!

On nie słuchał, przesunął dłoń z policzka na włosy.

- Pomyśleć, że Ole cię dostał. Dopisało mu szczęście, jak zwykle. Ole dostawał wszystko. - Nagle uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę obory. - Niech diabli porwą Olego. To ja powinienem być dostać dwór, ja powinienem być dostać ciebie!

Wściekłość się w nim gotowała. Amalie bała się coraz bardziej. Była kompletnie zdana na jego łaskę, nie miała możliwości ucieczki. Sigmund stał tak blisko, że opierał się o nią całym ciałem.

Milczała, nie wiedziała, co powiedzieć.

- Możemy się pobrać, Amalie.

Z trudem chwytiała powietrze. Czy on stracił rozum? Ostatnie słowa padły nieoczekiwanie, przestraszyły ją jeszcze bardziej. Musi zapanować nad tą sytuacją. Nie może okazać słabości, bo będzie źle.

- Przecież ty jesteś żonaty, Sigmund. Z Fridą. Zapomniałeś? - Wstrzymała oddech.

Sigmund wolno pokręcił głową.

- Frida? Ha! Ha! Ona nie jest... - Na moment zapadła cisza, a potem mężczyzna warknął.

- Ona! Ta głupia baba! - Szare oczy miały skry.

Krowa znowu zaczęła się niepokoić i głośno zaryczała.

- Muszę stąd wyjść - powiedziała Amalie.

Sigmund spojrzął na zwierzę i skinął niechętnie.

- Chodź ze mną. Usiądziemy wygodnie na sianie i porozmawiamy.

- Nie, nie mogę. Muszę wracać do domu. Kajsza na mnie czeka, a Maren...

- Chodź, powiedziałem. Tutaj ja decyduję.

Amalie wstała i wyszła za nim z przegrody. Wiadro z mlekiem postawiła przy ścianie w nadziei, że wkrótce zjawi się służąca. Bała się bardziej niż kiedykolwiek. Miała przed sobą drzwi obory. Czy mogłaby mu uciec?

Ale zanim zdążyła to pomyśleć, poczuła na ramieniu ciężką dłoń.

- Nawet nie próbuj mnie oszukiwać! Amalie odwróciła się wolno.

- Naprawdę muszę wracać. W domu na mnie czekają.

Zauważyła, że Sigmund jest coraz bardziej wściekły. Wciąż trzymał ją za ramię i ciągnął w kąt obory. Czy zamierza ją tu zgwałcić? Wszystko się w niej burzyło, kiedy pchnął ją na siano. Otworzyła usta, by krzyczeć, ale Sigmund zwałił się na nią całym ciężarem. Zdążyła tylko wykrztusić:

- Zostaw mnie!

Próbowała go odepchnąć, ale on był zbyt silny. Spojrzała w jego diabelskie oczy.

- Nigdy cię nie puszcę - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Amalie przestała myśleć, ale szarpała się, kopała i biła go z całej siły. Próbowała się uwolnić, ale to na nic.

- Puść mnie! - krzyknęła.

Sigmund odsunął się odrobinę tak, że zdążyła zaczerpnąć powietrza. Dyszała ciężko. Boże drogi, ten człowiek zwariował.

- Chodź do mnie, Amalie. Jestem dobrym kochankiem, po mnie nie będziesz chciała żadnego innego. - Przyciągnął ją do siebie, a ją ogarnęło obrzydzenie.

- Nie waż się mnie tknąć! - ostrzegła, zaciskając pięści.

Tłukła go z całej siły po głowie. I nagle usłyszała oszołomiona, że on się śmieje.

- Zachowujesz się jak pisklę wróbla. Naprawdę wierzysz, że mogłabyś mnie pokonać?

Odwróciła głowę, kiedy Sigmund pochylił się nad nią. Nie zniesie tego.

- Ratunku! - wrzeszczała. - Ratunku! Julius!

Sigmund zakrył jej usta ręką.

- Nie wzywaj Juliusa. To ci się i tak na nic nie zda. Zarządcy nie ma we dworze. Widziałem, jak wyjeżdżał.

- Kłamiesz! - Głos jej się łamał, najpierw ze złości, potem z rozpacz. - Puść mnie, Sigmund, będziesz tego żałował!

On pokręcił głową.

- Nie, mylisz się. Zaraz będziesz moja, Amalie.

Znowu próbowała mu się wyrwać, wiała się niczym wąż, ale on trzymał ją mocno w pasie. Poczowała jego rękę na brzuchu i jęknęła.

- Sprawiasz mi ból! Ole nigdy by się tak wobec mnie nie zachował! - wrzeszczała.

- Nie interesuje mnie to. Nigdy nie znałem tego idioty.

- O co ci chodzi?

On szarpnięciem rozpiął jej suknię i obnażył piersi. Pochylił się i zaczął je całować. Amalie wciąż robiła wszystko, by się wyrwać, ale on mruczał zadowolony i próbował ręką pieścić jej biodro.

- Nie rób tego! - wrzasnęła raz jeszcze.

Ale Sigmund chwycił ją jeszcze mocniej i jednym ruchem ręki zdarł z niej suknię. Leżała teraz przed nim naga i nie mogła nic zrobić.

- Jesteś cudowna, Amalie. Nareszcie będziesz moja - mówił, głaszcząc jej włosy.

Musiała na niego patrzeć, ale zbierało jej się na wymioty od tego pijackiego odoru.

- Tu zaraz przyjdą ludzie, Sigmund. Służąca musi zabrać wiadro z mlekiem. Złapią cię i pójdziesz do więzienia. Naprawdę tego chcesz? Tangen nigdy nie będzie twoje, skoro skończysz w kryminale - dodała. Wiedziała, że musi powiedzieć coś takiego, co go powstrzyma. Ale co?

Sigmund cofnął się i przeczesał palcami włosy.

Teraz albo nigdy, pomyślała Amalie. Zerwała się i pobiegła w stronę drzwi. Nagie piersi kołysały się, spódnica pętała jej nogi, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Chwyciła klamkę i już miała otworzyć, kiedy on szarpnął ją w tył.

- Naprawdę myślałaś, że zdołasz uciec? Chodź no, moja kochana, uczynię cię szczęśliwą - powiedział nieoczekiwanie łagodnym głosem.

Amalie rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się bronić. Za wszelką cenę musi wytrącić go z równowagi. Ale strach ją paraliżował, Sigmund trzymał z całej siły za włosy. Sprawiało jej to niewypowiedziany ból, zaciskała jednak zęby.

Znowu pchnął ją na siano, ale teraz ona zadziałała błyskawicznie. Zerwała się na równe nogi i pobiegła w drugą stronę, ku przegrodom dla świń. Przytrzymała spódnicę, by się o nią nie przewrócić. Słyszała, że Sigmund biegnie za nią, głośno przeklinając, ale zdążyła wpaść między świnię, pochyliła się i wyczołgała przez otwór na wybieg. Do wolności!

Sigmund próbował czołgać się za nią, ale był zbyt rosły, żeby przedostać się przez otwór. Patrzył na nią wściekły.

- Ty przeklęta babo! Udało ci się mnie okpić!

Amalie nie odpowiedziała, wstała i pobiegła przez dziedziniec. Czuła w ustach smak krwi, ale nie zatrzymywała się, dopóki nie zatrzasnęła za sobą drzwi domu. Maren wyszła z kuchni i na widok gospodyni stanęła jak wryta.

- Rany boskie, co ci się stało? - krzyknęła.

Amalie zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie, próbując odzyskać mowę.

- Jak ty wyglądasz?! - mówiła Maren, próbując zasłonić podartą suknią jej nagie piersi. - Kto ci to zrobił?

- To Sigmund - odparła Amalie, zginając się w pół.

Brzuch ją bolał od wysiłku i szybkiego biegu.

- Chodź do saloniku - powiedziała Maren. - Tam ogień pali się na kominku, a ty jesteś strasznie zmarznięta.

Amalie poszła za nią, w pokoiku opadła na fotel przed kominkiem. Maren dodatkowo okryła ją kocem.

- Teraz powiedz mi, co się tam stało? - spytała, kucając przed nią.

Amalie spoglądała w sufit.

- Sigmund mnie zaatakował. Krzyczałam i wzywałam pomocy, ale nikt nie przyszedł - mówiła na pół z płaczem.

- To straszne - krzyknęła Maren. - Gdzie on teraz jest?

- Tego nie wiem, ale kiedy widziałam go po raz ostatni, tkwił zakleszczony w przejściu dla świń.

Maren wstała i podeszła do okna.

- Na dziedzińcu jest pusto, gdzie się wszyscy podziali?

- Ja też się zastanawiam - westchnęła Amalie.

Wciąż bała się tak, że cała się trzęsła. Powoli ogarniał ją gniew. Gniew, że znowu nie będzie czuć się bezpieczna.

- Musisz się przebrać, Amalie. Suknia jest w strzępach. A ja pójdę rozejrzeć się za służbą. Trzeba zawiadomić lensmana. - Maren zatrzymała się przy drzwiach. - Ja z nim porozmawiam w twoim imieniu. Sigmund musi się znaleźć za kratkami. To niebezpieczny człowiek i już wystarczająco długo cię dręczy. Ole z pewnością życzyłby sobie, bym zajęła się tą sprawą.

Amalie podniosła się z wolna i wyszła. Przed drzwiami do swojego pokoju przystanąła. Szloch wyrwał się z jej piersi. O mało nie została zgwałcona. Spojrzała na drzwi i przez moment zobaczyła przed sobą uśmiechniętą twarz Mittiego. Niestety, wizja szybko zniknęła.

Nadszedł wieczór, Amalie leżała w łóżku. Dzień minął bardzo szybko, we dworze pojawił się lensman i oznajmił, że pani Vinge podtrzymała swoje kłamstwa. Pan Finkel dodał, że on też nie wierzy, iż Jens został zamordowany przy użyciu broni palnej. To właściwie nic nowego, ale trzeba przyjąć, że ktoś musiał go wepchnąć w błoto. Lensman obiecał też, że pojedzie do Namna, by porozmawiać z Sigmundem. Amalie miała nadzieję, że dzięki temu szwagier nie pojawi się już więcej w Tangen.

Wciąż była wstrząśnięta porannymi wydarzeniami. Nakazała zarządcy i robotnikom, by na wszelki wypadek zawsze mieli gotową broń. Nie była w stanie dłużej się bać. Wciąż jeszcze żołądek jej się zaciskał na myśl, co mogło się stać.

Przeciągnęła się i ziewnęła, spojrzała na łóżko córki. Kajsza spała głęboko. Ostatnio bardzo urosła. Dzisiaj sama stanęła na nogach i przesuwiała się, przytrzymując krawędzi stołu.

## Rozdział 6

Amalie przecierała oczy. Obudziły ją głosy na korytarzu, próbowała zebrać myśli. Czyżby to Kalle? Odrzuciła kóldrę i pobiegła do drzwi. Rzeczywiście, na zewnątrz stał roześmiany Kalle.

Z okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję.

- No, no, Amalie. Przecież nie tak dawno się widzieliśmy - mówił, głaszcząc ją po włosach.

Odsunęła się o krok i przyglądała uważnie gościowi. Kalle znowu zapuścił brodę i wyglądał znacznie doroślej niż kiedykolwiek. Twarz też mu się zmieniła. Jak często przedtem zdała sobie sprawę, jaki to urodziwy mężczyzna.

- Co cię tu sprowadza? - spytała, wracając do pokoju. Stwierdziła, że hałasy nie obudziły Kajsy.

Kalle uśmiechnął się na widok dziecka.

- Jak ona urosła - powiedział łagodnie, zanim usiadł.

- Przywiozłem tu z powrotem Inge. Nie uwierzysz, ale jej ojciec, ten cały Amund, został wypuszczony z więzienia. - Kalle jakby z niedowierzaniem kręcił głową. - Wypuścili go za dobre zachowanie.

Amalie nie wiedziała, co powiedzieć, za nic nie mogła zrozumieć, że ktoś taki paskudny jak ten człowiek był w stanie dobrze się zachowywać.

- Ja...

- I nie dość na tym - przerwał jej Kalle. - On zaskarża testament. Mówi, że to jego dziedzictwo. Nie wiem, co z nim zrobić. - Kalle wyprostował się i patrzył na Amalie.

Cóż mogła mu doradzać. Kalle ma kłopoty. Ale ona chyba nie jest najodpowiedniejszą osobą, do której powinien się zwrócić.

- Musisz sobie znaleźć adwokata.

- Wiem, ale chciałbym, żeby Inga tymczasem mieszkała u ciebie. Boję się, że Amund coś jej zrobi. To ona jest dla niego przeszkodą.

- Masz rację. - Amalie pamiętała, jak Amund uprowadził Inge i zamknął ją w leśnym szałasie. Ole ją odnalazł i zdołał aresztować Amunda. Jego ojciec, Kristian, przepisał majątek na wnuczkę.

- Oczywiście, że ona może tu mieszkać. Tęskniłam za nią, wniesie do tego dworu więcej życia.

- Świetnie. Tron powiedział, że jej klacz jest w Furulii. I że mogę ją tu przyprowadzić. Inga bardzo kocha tego konia.

Kajsa zaczęła się wiercić.

- Zejdźmy do kuchni, tam porozmawiamy. Muszę nakarmić małą. - Wzięła córeczkę na rękę i ucałowała w oba policzki. - Bo widzisz, ona bardzo lubi jeść.

- Tak, to widać - przyznał Kalle, otwierając drzwi przed Amalie.

W kuchni było cicho. Amalie posadziła roześmianą córeczkę na podłodze, a ona natychmiast zaczęła raczkować, najwyraźniej bardzo zadowolona.

- A ty też chciałbyś kaszy? - spytała Kallego.

- Nie, dziękuję. Nie mam apetytu. Muszę przyznać, że wszystkie moje myśli kręcą się wokół tego człowieka.

- A gdzie jest teraz Inga?

- Pod opieką Tannel. Uznałem, że powinienem najpierw przyjechać tu sam i przedstawić ci sytuację.



- Przywieź ją tu zaraz. Przy okazji weź też klacz. A co tam u Tannel i jej synka?

- Tron i Tannel są szczęśliwi - odparł Kalle z uśmiechem. - Wprost nie do wiary, jak Tron rozpieszcza dziecko i z jaką troskliwością odnosi się do żony - westchnął. - Sam chciałbym przeżywać coś takiego. Ja wciąż tęsknię za Marie i widzę w wyobraźni dziecko, które by się nam urodziło, gdyby ona go nie zamordowała.

W głosie Kallego brzmiała gorycz i smutek. Amalie bardzo mu współczuła. Niestety, los chciał, żeby Marie umarła.

- Strasznie mi przykro, Kalle, że tak się stało. Marie...

- Nie chcę o tym więcej rozmawiać - przerwał mężczyzna pośpiesznie i wstał. - W takim razie pojedę do Furulii i przywiozę Inge. Tylko bogowie wiedzą, jak się to wszystko potoczy. A jeśli na dodatek stracę dwór w Namna, to nie mam pojęcia, co będę robił. Do Furulii nie chcę wracać, jestem dorosły i chciałbym mieć coś własnego.

- Rozumiem cię, Kalle. - Wzięła Kajsę na ręce i usiadła. Kasza była gotowa, dziecko czekało niecierpliwie.

Amalie zaczęła je karmić. Uśmiechnęła się do córeczki i w odpowiedzi otrzymała też szeroki uśmiech.

- Jak ty się dobrze do niej odnosisz - stwierdził Kalle, otwierając drzwi. - Niedługo wrócę. Nagle przypomniało mi się, że Johannes korzystał z pomocy adwokata, niejakiego pana Petersena. On mieszka w Skasen.

- No właśnie, to jedź do niego. Może będzie mógł ci pomóc.

- Schowałem testament. Przynajmniej tego mój przeciwnik nie znajdzie.

Kiedy Kalle wyszedł, a Kajska się najadła, Amalie posadziła ją znowu na podłodze. Zastanawiała się teraz, co się stało z Maren, przypuszczała jednak, że kobieta jeszcze śpi.

Nagle usłyszała stukot końskich kopyt i wyjrzała przez okno. Zaskoczona, stwierdziła, że przyjechał Halvor. Co on tu robi?

- Chodź no tu, moje dziecko. Musisz pójść ze mną.

Wzięła Kajsę na ręce i wyszła do holu. Niepewnie spoglądała na ponurą minę przybysza.

- Czego chcesz? - spytała, jękając się.

Halvor chrząknął.

- Gdzie jest Fredrik?

- Fredrik? - zdziwiła się Amalie.

- Tak. Słyszałem, że on kręci się gdzieś w Svullrya.

Amalie uspokajała Kajkę, która chciała wrócić na podłogę. Wpijała przy tym wzrok w Halvora.

- Pojęcia nie mam, gdzie on się podziewa - skłamała. - Ale czego od niego chcesz? Myślałam, że ze sobą nie rozmawiacie.

Wtedy do domu weszła Maren. Zdziwiona, uniosła brwi, a potem zabrała Kajkę ze sobą do kuchni. Amalie z Halvorem weszli do salonu.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale potrzebuję jego pomocy. Mam jechać do Francji.

Amalie otworzyła usta ze zdziwienia.

- Do Francji?

- Tak, mam zamiar znowu się ożenić.

- Naprawdę? Z kim?

- Z jedną francuską panią, którą przypadkiem spotkałem w Kristianii. Zresztą... - Wyciągnął przed siebie nogi. - Przyjaciółka Kari, Vigdis, też mieszka w stolicy. Słyszałem, że jest w ciąży.

- Mówisz poważnie? To pewnie Vigdis jest szczęśliwa.

Halvor przytaknął.

- Ale teraz powiedz mi, gdzie jest Fredrik. Jestem pewien, że wiesz.

Amalie nie miała pojęcia, jak się zachować. Czy powinna przekazać Halvorowi informacje? Fredrik odebrał mu przecież żonę. Z drugiej strony wiedziała, że Fredrik dobrze się czuje we dworze Frysje.

- Wiem, gdzie on jest - bąknęła.

Halvor wyszczerzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Gdzie?

- Fredrik pracuje w tartaku.

Halvor zerwał się na równe nogi.

- W tartaku?

Amalie przytaknęła.

- Co on tam, na Boga, robi? To najgłupsze, co słyszałem. Rąbanie drewna to nie jest dla niego odpowiednie zajęcie.

- Mylisz się. Fredrik jest znakomitym zarządcą i świetnie sobie radzi - odparła Amalie ze złością.

- No, skoro jest zarządcą, to nie najgorzej - powiedział i znowu wyszczerzył zęby. - Dziękuję za informacje, Amalie. Bez względu na to, co się między nami wydarzyło, życzę ci jak najlepiej. Jak wiesz, nigdy nie kochałem Victorii.

Amalie otworzyła przed nim drzwi.

- Wiedziałam, ale dlaczego nie zostawiłeś jej w spokoju? Ona była z Fredrikiem szczęśliwa. Halvor zatrzymał się na ganku.

- Nie jestem w stanie znieść straty, Amalie. Jak myślisz, dlaczego jestem taki bogaty? Bo nikt nie może stawać mi na drodze do celu.

- Tak, o tym też wiem, ale przestraszyłeś Victorię. - Amalie przełknęła ślinę. Może powinna spytać, czy to on ją tak śmiertelnie wystraszył. Chrząknęła. - Czy to ty... - słowa zamarły jej na wargach, bo Halvor wybuchnął śmiechem.

- Tak, to byłem ja, Amalie, Przeraziłem ją tak, że rozum jej się pomieszał. Ale to ona sama wyskoczyła. Jestem winien jej śmierci, nie myśl jednak nawet o poinformowaniu lensmana czy uprzedzeniu innych ludzi. Nikt ci nie uwierzy. Halvor Henriksen jest poważanym człowiekiem, pan Finkel by cię tylko wyśmiał.

Amalie trzęsła się jak w febrze. Zrozumiała to wszystko już wtedy, ale starała się o tym nie myśleć.

Teraz jednak poczuła dojmujący ból. Halvor stoi przed nią i opowiada, co zrobił, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Przecież to morderca!

- Ty ją zabiłeś, Halvor! Można powiedzieć, że jesteś mordercą. Zimnym i cynicznym! Halvor zachichotał.

- Nie, nie, to nie tak. Ja tylko załatwiłem to, co powinno się dokonać dawno temu. Fredrik to ostatni człowiek w tym kraju, który powinien być ją dostać. Pomyśl, uwieść żonę brata! To niedopuszczalne. - Uchylił kapelusza. - Do widzenia, Amalie.

Patrzyła w ślad za nim, kiedy biegł po schodkach i kiedy wskakiwał na siodło, a potem zawrócił konia i galopem opuścił dziedziniec.

Amalie z westchnieniem wróciła do domu. Przestraszyło ją to, co powiedział Halvor, ale z pewnością on ma też rację. Nie może złożyć doniesienia, bo nikt jej nie uwierzy. Poza tym Victoria zmarła w Szwecji.

A może powinnam pojechać do Szwecji i tam o wszystkim zameldować, pomyślała. Tylko że on tymczasem znajdzie się we Francji i długie ramię sprawiedliwości i tak go nie dosięgnie.

W kuchni rozległ się krzyk Kajsy, która się przewróciła.

Maren przejęta, patrzyła na Amalie.

- Twoja córka jest tak strasznie uparta, że aż budzi to grozę. Właśnie próbowała wdrapać się na ławę, ale oczywiście spadła.

Amalie wzięła dziecko na ręce i przytuliła z miłością.

- Musisz być ostrożniejsza, moja kochana. I najpierw naucz się porządnie chodzić.

Maren patrzyła na nie, kręcąc głową.

- Zaraz przygotuję śniadanie.

Amalie umyła dziecko, a po chwili przyszła do nich Berte.

- Mogę zabrać Kajkę na spacer? Idę do wsi na zakupy.

- Dobrze - zgodziła się Amalie.

- Ale nie będzie mnie przez kilka godzin.

- O, dlaczego tak długo?

- Po drodze wstąpię do moich rodziców. Jeśli oczywiście pozwolisz - dodała.

- Proszę bardzo, idź.

Kiedy służąca wzięła dziecko i wyszła, Amalie wyjrzała przez okno i stwierdziła, że zaczyna prószyć śnieg. Przecież to dopiero październik.

W jakiś czas potem Amalie też wyszła się przejść. Chciała porozmawiać z Julusem, który pracował na polu, ale nigdzie go nie znalazła. W końcu poszła do lasu. Poprzez gęsto rosnące drzewa dostrzegła bagna. Nagle przystanęła, bo we wrzosach przed nią coś się poruszyło. Stała bez ruchu, serce tłukło się jak szalone. Czy to jakieś pozaziemskie istoty tu hałasują, czy może zwierzęta?

Nie musiała długo czekać na odpowiedź, bo jakiś przestraszony ptak wzbił się w powietrze. Odetchnęła więc z ulgą i poszła dalej.

Kiedy znalazła się na polanie, zobaczyła Juliusa i Maren, którzy siedzieli na dużym kamieniu, bardzo blisko siebie, i rozmawiali.

Wycofała się pośpiesznie, widząc, że Maren całuje Juliusa w usta. Poczuli się nieswojo, odwróciła i pobiegnęła ścieżką w stronę domu. Była rada, że jej nie zauważyli, w dodatku uzyskała potwierdzenie, że tych dwoje jest w sobie zakochanych. To wspaniale, myślała. W tym dworze potrzeba trochę szczęścia.

Pośpiesznie szła dalej przed siebie, nagle zobaczyła jednego ze swoich robotników ze strzelbą na ramieniu.

Uśmiechnął się do niej.

- Zobaczyłem, że pani idzie do lasu i pośpieszyłem za panią - oznajmił.

- Chciałam się tylko trochę przejść.

- Wiem, ale Julius surowo nam przykazał, byśmy pani pilnowali. Sigmund Hammes może być gdzieś w pobliżu.

Amalie przygryzła wargę. Zapomniała na chwilę o bracie Olego.

- Dziękuję, to bardzo ładnie z twojej strony.

- Odprowadzę panią do domu.

- Dziękuję - powiedziała raz jeszcze.

Poczuła się o wiele lepiej, wiedząc, że służba jej pilnuje, ale też miała wrażenie osaczenia. Sigmund stanowił zagrożenie, bardzo jej się to nie podobało.

Chciała czuć się wolna.

## Rozdział 7

Vigdis przyglądała się Erikowi, który spał, odwrócony do niej plecami. Kilka dni temu powiedziała mu, że jest w ciąży. Bardzo go to ucieszyło, ona jednak nie odczuwała radości.

Kto jest ojcem tego dziecka - Erik czy Olav? Wciąż widziała przed sobą teścia, czuła jego zapach, widziała nad sobą jego wodniste i pełne pożądania oczy, kiedy się na nią rzucił. Była śmiertelnie przerażona. Jeśli to Olav jest ojcem dziecka, a Erik się o tym dowie, może utracić go na dobre. Patrzyła na niego z miłością, on odwrócił się i ziewnął. Wytrzeszczył oczy i uniósł brwi.

- Jezu, przyglądasz mi się? - spytał i wyciągnął rękę. - Chodź, połóż się przy mnie. Tutaj jest ciepło i dobrze.

Nie dała się prosić dwa razy. Ułożyła się pod kołdrą, przytulona do niego. Rozkoszowała się ciepłem i uśmiechała.

- Dobrze spałeś? - spytała, całując jego owłosioną klatkę piersiową. Słyszała bicie jego serca. - Kocham cię - szepnęła.

Erik jęknął.

- Teraz nie możemy, Vigdis. Dziecko.

- Cicho, mój kochany. Dziecku nic się nie stanie z tego powodu, że będziemy blisko siebie. Pragnę cię, Erik - mamrotała, pieszcząc ręką jego udo. On odsunął ją ostrożnie.

- Ja natomiast nie będę ryzykował. Dziecko jest dla mnie ważne. Od dawna pragnę być ojcem.

Vigdis musiała się do niego uśmiechnąć mimo rozczarowania, które ją przytłaczało. Erik chce być ojcem. Gdyby nie ten niepokój, który jej nie opuszcza, teraz mogłaby być radosna i szczęśliwa.

Miała nadzieję, że dziecko będzie podobne do niej. Dopiero wtedy poczuje się pewnie. Ojciec i syn nie mają ze sobą wiele wspólnego i na myśl o tym, że dziecko mogłoby przypominać Olava, przenikał ją lodowaty strach. Czas oczekiwania będzie długi, musi się na to przygotować. Wolą jednak nie wyobrażać sobie najgorszego.

Erik odsunął kołdrę na bok i wstał z łóżka. Vigdis podziwiała jego szerokie plecy, jej ciało płonęło.

On tymczasem z poważną miną zaczął się ubierać.

- Złożyłem meldunek, że Edna zniknęła i policja szuka, ale ona jakby się pod ziemię zapadła. Nic nie mogę z tym zrobić. Prosiłem policję, by mnie informowali o toku sprawy. Uznałem, że czas najwyższy wracać do domu.

Vigdis słuchała zaskoczona.

- A to dlaczego?

- Ojciec jest nieobliczalny, bardzo nie lubię spojrzeń, które ci posyła. Niech się nim zajmuje Abel, my nie musimy tu dłużej siedzieć. Zamierzam też starać się o posadę po panu Finkel, który zrezygnował.

- To miejsce lensmana jest wolne?

- Tak, pan Finkel złożył urząd, bo w tamtejszym jeziorze znaleziono zwłoki jakiejś Cyganki. Krążą pogłoski, że on kochał tę dziewczynę. Niestety, okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się o wszystkim i przestali go szanować.

- Jakaś Cyganka? - Vigdis nie była w stanie pojąć. Lensman sprawiał wrażenie porządnego człowieka i przecież jest żonaty.

Erik przytaknął.

- Wybuchł skandal, jak nietrudno się domyślić.

- Ty naprawdę chcesz mieszkać w Svullrya? - spytała.

- Tak, to piękna okolica i jest tam dwór wystawiony na sprzedaż. Byłoby nam dobrze, gdybyśmy się tam przeprowadzili. Dwór nie jest taki wielki jak ten w Kongsvinger, ale wystar-

czy. Ja nie jestem zbyt wymagający. Niech ojciec przejmie majątek w Kongsvinger. Nie chcę być dłużej zależny od jego dobrej woli.

Vigdis westchnęła cicho. Nie miała ochoty wracać. Zbyt dobrze zapamiętała ostatnią wizytę rodziców, kiedy ojciec wpadł we wściekłość. Mimo to nie mogła przeciwstawić się Erikowi. On się zdecydował, a ona pragnie towarzyszyć mu wszędzie.

- No to niech tak będzie. Już czekam na wyjazd.

Kiedy się trochę zastanowiła, odczuła ulgę. W końcu będzie mogła uniknąć Olava i jego zaczepki. Jedyne, z czego nie była zadowolona, to to, że zamieszka w mniejszym dworze, ale z tym też sobie poradzi.

Erik nalał wody do miednicy.

- Jak to dobrze, że nie stawiasz oporu, Vigdis. Zobaczysz, wszystko stanie się dla nas prostsze. Obawiam się tylko jednego, że mianowicie Edna może wrócić. Byłem zaślepiony, kiedy ją znaleźliśmy, ale teraz przejrzałem na oczy. Chcę żyć z tobą. Liczysz się tylko ty, moja kochana żono.

Serce Vigdis napełniło się czułością. Podeszła do męża i pocałowała go.

- Jestem taka szczęśliwa, Eriku.

- W takim razie wyjeżdżamy za tydzień - odparł. - Muszę napisać kilka listów do tego gospodarza, za parę dni będę też wiedział, czy dostanę posesję.

Vigdis cofnęła się mimo woli.

- Już za tydzień?

- Tak. Nie jestem w stanie dłużej tu siedzieć. Niech ojciec radzi sobie sam. Vigdis przytaknęła.

- A gdzie dokładnie znajduje się ten dwór?

Erik zatrzymał się przy drzwiach.

- Najbliższą sąsiadką jest Amalie Hammes. Ale nie wprowadzimy się tam tak od razu. Najpierw zamieszkamy w opuszczonym szałasie, niedaleko od jeziora Røgden.

Vigdis rozglądała się po stacji. W Kongsvinger spadł śnieg i przykrył wszystko wokół białą kołdrą. Piękny widok, zdaniem Vigdis. Schodziła na peron, Erik za nią, z walizkami.

Po chwili się odwróciła.

- Co teraz zrobimy?

- Musimy znaleźć konną dorożkę. Ale zanim ruszymy dalej, powinienem jeszcze wstąpić do biura.



- A ja myślałam, że najpierw pojedziemy do twojego dworu - odparła Vigdis zaskoczona.

Erik pokręcił głową.

- Nie, tam wszystko jest w porządku. Parę dni temu posłałem wiadomość i służba wszystko wie. Stary przyjaciel ojca zajmuje się dworem, ja już za niego nie odpowiadam.

Vigdis przypomniała sobie wyraz twarzy Olava, kiedy Erik poinformował go, że wyjeżdżają. Stary przez chwilę patrzył na nią z nienawiścią w oczach. Nawet się przestraszyła, ale kiedy Erik objął ją i przytulił, poczuła się znowu bezpieczną.

Olav był wściekły na Erika, ten jednak niczym się nie przejmował, wyjaśnił tylko, że jest dorosłym mężczyzną i może robić, co chce. Potem dodał jeszcze, że nigdy nie mógłby wybaczyć Olavowi tego, co zrobił Ednie.

Olav zaczerwienił się po korzonki włosów i oskarżył Vigdis, że to ona stoi za zniknięciem Edny. Na szczęście Erik ją poparł, ale stary prychnął ze złości i wrzeszczał, że nie miał pojęcia, iż Edna jest w ciąży.

Erik opuścił ojca bez pożegnania. Później Vigdis próbowała się dowiedzieć, co ojciec miał na myśli, mówiąc o dziecku. Erik jednak milczał.

Teraz Vigdis też już wszystko wie. Olav rzucił się również na Ednę i wynikło z tego dziecko. Nie wiedziała jednak, co się z nim stało. Dziecko Olava. To pewnie na zawsze pozostanie tajemnicą, myślała, patrząc na zatrzymującą się przed nimi konną dorożkę. Miała coraz większą nadzieję, że ona nosi pod sercem dziecko Erika.

Erik powiedział woźnicy, dokąd się wybierają. Ten zeskoczył z kozła i przeniósł ich bagaż do powozowni.

- Już się nie mogę doczekać, żeby pojechać do wsi - rzekł Erik w jakiś czas później.

- A kto nas tam zawiezie? - spytała Vigdis.

- Ten sam woźnica. Będzie to piękna i miła wyprawa.

- Ale też bardzo kosztowna? - spytała Vigdis, moszcząc się w powozie.

- Mam dość środków, by opłacić podróż, Vigdis. Zapomniałaś, że jestem bogatym człowiekiem?

- Nie, nie zapomniałam, ale skoro mamy mieszkać w niewielkiej zagrodzie, to przestraszyłam się, że Olav cię wydziedziczył.

- Ojciec nie ma nic wspólnego z moim majątkiem. Jesteśmy zamożni, choć straciłem dwór w Kongsvinger.

Ona nie mogła zrozumieć, po co mu ta praca lensmana, skoro jest bogaty, ale milczała. Nie chciała burzyć dobrego nastroju.

Z okna powozu widziała Glommę mieniącą się po prawej stronie i dokądś śpieszących ludzi. To był piękny dzień, pomyślała i ogarnęła ją radość. Wszystko będzie dobrze.

Noszę dziecko Erika. Czuję to.

Ze smutną miną spoglądała na dwór, który kupił Erik. Zabudowania były w złym stanie, stodoła wymaga nowego dachu. Podobało jej się natomiast położenie, dom mieszkalny pod lasem, niedaleko mieniło się jezioro. W oddali widać było dwa wzniesienia, teraz pokryte śniegiem.

- No to nareszcie widzisz, jak tu pięknie - uśmiechał się Erik. - I do twoich rodziców też blisko. Będzie nam się tu znakomicie mieszało.

Vigdis uniosła rękę i dotknęła naszyjnika. Ozdoba matki. Stwierdziła, że po prostu boi się ponownego spotkania z rodzicami.

Przełknęła ślinę i uniosła głowę, nie mogła pozwolić, by wspomnienie rodzinnego domu zakłóciło jej ten piękny dzień.

- Tak, tu jest bardzo ładnie, Eriku. Jestem pewna, że będzie nam dobrze.

Znowu przełknęła ślinę przestraszona, że on odkryje jej kłamstwo, ale Erik wyglądał przez okno wyraźnie zadowolony.

Resztki dziennego światła spoczywały na wierzchołkach drzew, kiedy woźnica zatrzymał powóz przed domem.

Wyszła im na spotkanie jakaś starsza kobieta. Vigdis uśmiechnęła się do niej. Erik poszedł się przywitać.

- Wstąpiliśmy po drodze, żeby zobaczyć, jak wygląda dwór. Widzę, że nic jeszcze nie zostało zrobione. - Z niezadowoleniem marszczył brwi. - Gdzie gospodarz?

Kobieta nerwowo splatała palce.

- Wróci dopiero za kilka tygodni. Nie spodziewałam się was już teraz. - Niezadowolona, kręciła głową.

- Za kilka tygodni?! - wykrzyknął Erik. - Ale przecież my nie możemy tak długo mieszkać w szałasie. Jest po prostu za zimno.

- To wszystko, co mogę teraz powiedzieć - odparła kobieta, odwracając się na pięcie. - Przyjedźcie, jak gospodarz będzie w domu - rzuciła przez ramię.

Erik wrócił do powozu i uderzył pięścią w drzwi.

- Przeklęty drań. Będziemy musieli mieszkać w szałasie, a to mi się bardzo nie podoba. Sądziłem, że dwór został wyszykowany już dawno temu, że w lesie zatrzymamy się tylko na kilka dni.

Vigdis podeszła do męża i pogłaskała go po plecach.

- Nie denerwuj się, Erik. W szałasie też będzie nam dobrze. Zostaniemy sami, nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Erik patrzył na nią zbity z tropu.

- Nie, nie podoba mi się to. Ten człowiek żarty sobie ze mnie stroi.

- Poczekajmy, to zobaczymy. Może się mylisz.

- No, chciałbym, żebyś miała rację - rzekł przygnębiony. - Ale chodźmy już, powinniśmy dotrzeć do szałasów, zanim się ściemni. Poza tym musiałem kupić dwa konie.

Vigdis wróciła do powozu i znowu wyglądała przez okno. Zastanawiała się, jakie teraz będzie jej życie. Czy dziecko czeka bezpieczna przyszłość?

Vigdis niosła na plecach duży koszyk z kory i szła za Erikiem. Ostatni kawałek musieli pokonać piechotą przez las, bo woźnica orzekł, że droga jest nieprzejezdna. Zawrócił więc, a oni prowadzili ze sobą kupione przez Erika konie.

Vigdis ogarniał coraz większy niepokój. Zanurzali się w stary gęsty las. Naprawdę mają tu mieszkać?

W pewnej chwili Erik się odwrócił.

- Tutaj ścieżka się urywa. Trzeba będzie przedzierać się między tymi drzewami, na szczęście nie ma zbyt dużo śniegu.

- A to jeszcze daleko? - spytała Vigdis.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. W każdym razie jesteśmy na właściwej drodze.

W jakiś czas potem zauważyli piękny zasobny dwór.

- Ciekawe, do kogo należy? - zastanawiała się Vigdis.

- Właściciel nazywa się Paul Abrahamsen. Podobno mieszkał przez jakiś czas w Ameryce, ale wrócił w rodzinne strony i kupił posiadłość od Amalie Hammes.

- Amalie? - spytała Vigdis zaskoczona.

Erik przytaknął.

- Tak, to bardzo bogata kobieta.

Vigdis prychnęła.

- Ona wszystko zawdzięcza lensmanowi, Olemu Hammesowi. Gdyby za niego nie wyszła, siedziałaby teraz w jakiejś zagrodzie, w skrajnej nędzy.

Erik zaklął głośno, bo o mało się nie przewrócił w zaroślach.

- Kari, siostra Amalie, mieszka w Tille. To także zasobny dwór.

Erik zdołał jakoś odzyskać równowagę i patrzył na nią ponuro.

- Ja wychowywałem się w bogactwie. To niewiele znaczy, byleby tylko człowiek był szczęśliwy. Uważam, że powinnaś to sobie zapamiętać, Vigdis.

Słyszała urazę w jego głosie i spuściła wzrok.

- Ja nie to miałam na myśli.

- No, mam nadzieję. Ale teraz chodź, zaczyna się ściemniać.

Vigdis straciła poczucie czasu, ale w końcu zobaczyła w oddali jezioro Røgden.

Erik przystanął nagle i pokazywał ręką.

- Tam jest szałas!

Vigdis spojrzała w tę stronę i o mało nie krzyknęła. Ten szałas to kompletna ruina.

- Ale my nie możemy tam mieszkać! To się po prostu rozpada.

- Nie mamy wyboru. Zresztą zatrzymamy się tutaj tylko na jakiś czas.

- Ale mimo wszystko.

Erik ruszył szybko, musiała biec, żeby za nim nadążyć. Domyślała się, że jest wściekły, szałas jest w ruinie, a nastąpiła już zima i mróz jest coraz większy.

Vigdis zadrżała, widząc niedźwiedzią skórę zawieszoną na drzwiach.

- Przecież w tym futrze musi się pienieć straszne paskudztwo - wykrztusiła.

- Tak, wygląda, że skóra jest bardzo stara. Zastanawiam się teraz, co zastaniemy w środku. - Otworzył skrzypiące drzwi i wszedł.

Vigdis podążała za nim, ale przystanąła w progu. W izbie panował lodowaty chłód, zniszczone meble stały w nieładzie. Połamane łóżko pod ścianą, większą część pomieszczenia zajmowało palenisko, najwyraźniej od dawna nieużywane.

Erik stanął pośrodku i kręcił głową.

- Nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle. Ten chłop to jakiś oszust!

Z jego ust wydobywała się para, Vigdis trzęsła się i dzwoniła zębami.

- Zrobimy, co się da - powiedziała w końcu, choć sama w to nie wierzyła.

Szałas to kompletna ruina i oni mają tu mieszkać! Erik zdjął swój koszyk i uważnie lustrował niewielkie pomieszczenie.

- Na szczęście są garnki, kubki i talerze. To już coś. Vigdis usiadła na krzeselku i podparła głowę rękami.

- Widzisz tu gdzieś drewno na opał? Erik przystanął przed paleniskiem.

- Trochę jest. - Pochylił się, ułożył kilka polan na palenisku, z kieszeni wyjął zapalki i bezradnie rozglądał się wokół. - Potrzebuję papieru. Inaczej nie zdołam rozpaścić ognia.

Vigdis znalazła kawałki jakiejś starej gazety i podała mężowi.

- Spróbuj może przygotować posłanie, Vigdis. Rany boskie, co za ruina! Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Ogień powoli się rozpałał. Vigdis podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

- Najpierw muszę się trochę rozgrzać, potem przygotuję posłanie.

- A ja pójdę poszukać więcej drewna - rzekł Erik, wychodząc.

Vigdis przysunęła sobie krzesło do ognia. Była kompletnie przygnębiona, ponurym wzrokiem patrzyła na podarte kołdry na łóżku i śmieci na podłodze.

Nienawidziła sprzątanania i znowu pomyślała o luksusie, który otaczał ją w Kristianii. Dlaczego Erik to wszystko porzucił?

Co powinna teraz zrobić? I w ogóle co będzie robić w jakimś niewielkim dworze? Na myśl o tym ogarniał ją coraz większy smutek.

Erik powinien był się lepiej zastanowić, myślała, wpatrując się w płomienie. Czy ona potrafi żyć w takich warunkach? Najpierw wydawało jej się, że potrzebuje tylko Erika, teraz nie była tego już taka pewna.

- Znalazłem więcej drewna - oznajmił Erik, wchodząc. - Ale dlaczego ty tak siedzisz? Ty też musisz coś robić! Bezczyenne życie się skończyło. - Położył drewno przy palenisku i patrzył na nią zirytowany. - Teraz trzeba się przyzwyczaić do takich warunków.

Ona podniosła się z wolna. Była kompletnie zrozpaczona tą nową sytuacją, ale nic nie powiedziała.

Erik pozamiatał podłogę i zapalił łojowe świece, które znalazł w szafie.

- No to na razie tyle - rzekł, siadając na łóżku. - Chodź do mnie - poprosił z uśmiechem.

Vigdis posłuchała natychmiast i usiadła obok. Erik objął ją i przytulił.

- Moim zdaniem już jest lepiej. Wystarczyło tylko trochę posprzątać - rzekł.

Vigdis przytaknęła.

- Należałoby jeszcze umyć izbę i powiesić jakieś firanki.

- Na razie nie pójdę do wsi - przerwał jej Erik. - Sypie gęsty śnieg, trudno byłoby się przebić.

- Ależ Erik, musimy mieć jedzenie i... Chciałabym, żeby wokół zrobiło się przyjemnie - zaproponowała.

On wstał, wpił w nią wzrok.

- Jeśli chcesz, żeby było przyjemnie, to sama musisz o to zadbać. Ja jestem mężczyzną i żądam, by moja żona utrzymywała porządek. Na razie to ja myłem, zmiatałem i sprzątałem, a ty po prostu siedziałaś. Nie zgadzam się na to, Vigdis!

- Ja nigdy takich rzeczy nie robiłam, dobrze o tym wiesz - odparła. - Do sprzątanania zawsze mieliśmy służące.

Erik podszedł do kąta kuchennego.

- A gotować umiesz?

Vigdis zagryzła wargi. Nie jest dobrą kucharką, gotowanie nigdy jej nie interesowało, ale przytaknęła.

- Oczywiście.

On otworzył szafę i wyjął różne produkty, które przyniósł w koszyku.

- No to spróbuj wyczarować z tego jakiś smakołyk. Masz tu szynkę, świeży chleb, jaja i mięso. Mamy też trochę suchych produktów.

Vigdis przyszedł do głowy zupełnie nowy pomysł.

- Powinniśmy zatrudnić kucharkę.

Erik spojrzał na nią, jakby miała źle w głowie.

- Kucharke? Tutaj?

- Tak. Kucharka może też sprzątać i myć. On wybuchnął śmiechem.

- Ty naprawdę zwariowałaś. Nie potrzebujemy tu nikogo do pomocy, rozejrzyj się. Tu prawie nie ma miejsca. Gdzie ta kucharka miałaby spać?

Vigdis widziała, że Erik ma rację, ale przecież jest bogaty, stać go na wynajęcie służby.

- Mogę uszyć zasłonę i oddzielić kuchnię od reszty.

Erik stał przed nią i w coś się wpatrywał. Vigdis to zaciekało.

- Na co ty patrzysz?

On cofał się wolno, nie odrywając wzroku od szafy. Nagle Vigdis podskoczyła, bo jeden z talerzy jakby zerwał się z półki i ruszył w stronę Erika.

- Zegnij się! - krzyknęła.

Erik zgiął się wpół, a talerz trafił w ścianę i rozpadł się na kawałki.

- To niewiarygodne! - mamrotał. - Widziałem, jak ten talerz się zsuwa i nagle zobaczyłem, że kieruje się w moją stronę. Tak po prostu płynął w powietrzu!

- Przecież to niemożliwe - powiedziała Vigdis, choć wiedziała, że tak właśnie się stało. Widziała przecież na własne oczy.

Erik kręcił głową i wciąż wpatrywał się w szafę.

- Tutaj straszy - rzekł z wolna z rozpaczą w głosie. Vigdis poczuła, że włos jej się jeży na głowie.

- Nie, to nie może być prawda.

- No przecież sama widziałaś, że...

- Nie możemy tu mieszkać! - krzyknęła przerażona.

- Ale musimy - odparł Erik, przeczesując ręką włosy. - Nie mamy innego miejsca.

Vigdis zaczęła się zastanawiać. Z Kari od jakiegoś czasu jest pokłócona, u swoich rodziców też nie może zamieszkać. Erik ma rację, muszą tu zostać, choć ona bardzo nie chce.

- Nie podoba mi się tutaj, jeśli w dodatku straszy... Z duchami to już naprawdę wołałabym nie mieć do czynienia.

Właśnie w tym momencie światło świec rozchybotano się, a po chwili zgasło. W izbie zaległy nieprzeniknione ciemności.

- Gdzie jesteś, Erik? - zawołała.

- Tutaj.

Usłyszała, że coś przewrócił i głośno zaklął.

- Muszę znaleźć zapalki. Nie pamiętasz, gdzie je położyłem?

- Nie.

Vigdis po omacku odszukała łóżko i usiadła. Serce tłukło jej się w piersi, była przerażona, miała wrażenie, że coś się za nią czai. Zerwała się gwałtownie, bo poczuła na karku czyjś zimny oddech.

- Ratunku! Coś się za mną skrada! - wrzeszczała, biegnąc.

Potknęła się i padając na podłogę uderzyła się w kolano.

- Vigdis, na Boga, co ty wyprawiasz?

Wytrzeszczyła oczy, bo nagle się wokół niej rozjaśniło. Erik stał z zapaloną zapalką w ręce i patrzył na nią zdumiony.

Rozejrzała się wokół. Nikogo prócz nich w izbie nie było. Kto więc dyszał jej w kark?



- Nie możemy tu mieszkać, Erik. Tu czai się jakieś zło, coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

- Musisz się opanować. - Erik uśmiechał się niepewnie. - Z pewnością znajdzie się jakieś wyjaśnienie, dlaczego talerz spadł na podłogę.

- On wcale nie spadł. On płynął w powietrzu do ciebie!

Erik ukucnął obok żony.

- Moja kochana. To tylko wyobraźnia spletała nam figła, nic innego. Chodź do mnie. - Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

- Ja wiem, że coś tu było - powiedziała, kiedy już oboje usiedli. - Nie czuleś, jak zimno się nagle zrobiło?

- Ja wolę myśleć, że jest jakieś wyjaśnienie dla tych zdarzeń. Ale chodźmy już spać, zrobiło się późno.

- Nie mam teraz ochoty na sen, Erik. - Vigdis rozejrzała się i zadrżała. Znowu odniosła wrażenie, że ktoś im się przygląda. - Nie chcę tu mieszkać.

Erik położył się na łóżku i pociągnął ją ku sobie.

- Będę cię ochraniał. Uspokój się i próbuj zasnąć. Jutro wszystko zmieni się na lepsze.

Przytuliła się do niego i z wolna się uspokajała. Erik nie wierzy, że coś tu się czai, więc dlaczego ona miałaby wierzyć?

Poczuła, że morzy ją sen.

## Rozdział 8

Edna zdołała się właśnie wydostać na środkowy pokład, kiedy statek gwałtownie odwrócił się na bok. Sztorm szalał od kilku dni. Na szczęście ona przywykła do fal i mdłości nie były już takie nieznośne.

Chora na ospę kobieta siedziała w kącie sama, a jej najmłodszy synek leżał na koi. Szczekał zębami i Edna od razu stwierdziła, że jest poważnie chory. Jego matka popatrzyła na nią zamglonym wzrokiem, wyglądało na to, że zrezygnowała już z walki.

Edna podeszła do dziecka i położyła rękę na jego czole. Poczowała, jaki jest rozpalony.

- Twój synek ma wysoką gorączkę - powiedziała do kobiety.

Tamta przytaknęła.

- Już go nie uratuję.

Edna słyszała żal w jej głosie.

- Twój synek ma nie tylko gorączkę, on się po prostu poci. Potrzebuje powietrza - powiedziała, zdejmując z dziecka kołdrę.

- Nie mogę z nim wyjść, to polecenie kapitana. Nie wolno nam wychodzić na górny pokład.

Edna rozzłościła się na kapitana. Poprzedniego dnia słyszała, jak krzyczał, że nikomu nie wolno wychodzić na pokład, że nikt więcej nie może zachorować. Edna to rozumiała, ale było jej żal chorego chłopca. Ktoś musi jej pomóc.

- Dajesz mu wodę do picia?

Kobieta pokręciła głową.

- Nie jestem w stanie nic mu dać. Jestem taka zmęczona, i taka chora.

Edna znalazła czerpak i nabrała wody z dużej beczki. Wróciła do dziecka, uniosła ostrożnie jego główkę i próbowała wlać odrobinę wody do buzi. Część spływała po brodzie, ale Edna się nie poddawała. Dziecko powinno pić, w przeciwnym razie będzie z nim jeszcze gorzej.

- Nie musisz nam pomagać, i tak jest już za późno - westchnęła kobieta.

Edna patrzyła na jej śmiertelnie bladą twarz i zdjął ją strach. W ciągu ostatnich kilku dni chora bardzo schudła.

- Muszę próbować - odparła, wciąż starając się napoić chłopca.

- Ja go stracę - jęknęła kobieta, układając się na boku.

- Nie wolno ci się poddawać - przekonywała Edna. - Trzeba wierzyć, że twój synek przeżyje.

Kobieta spojrzała na nią błagalnym wzrokiem.

- Jeśli będzie z nami źle, to dopilnuj, by kapitan urządził nam chrześcijański pogrzeb. Obiecujesz mi?

- Ależ moja droga, wy nie umrzecie.

- Nasza godzina wybiła. Wrzucą nas do morza. Jedyne, co mi sprawia ból, to to, że nikt nas nie znajdzie, nikt nigdy nie przyjdzie na nasz grób.

Edna nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ja... - Słowa zamarły jej na wargach.

- Teraz idź. Nie potrzebujemy już pomocy. I bądź ostrożna, żebyś ty też nie zachorowała.

Edna pokręciła głową.

- Nie boję się choroby. Wkrótce znowu do was zajrzę.

Kobieta uniosła rękę.

- Na Boga, nie. Oszczędź sobie tego.

Edna rozglądała się po górnym pokładzie. Przebywali tam zdrowi pasażerowie.

Podbiegł do niej Hermann, rozgorączkowany, choć wokół panował chłód.

- Dlaczego ty schodzisz na środkowy pokład? - spytał, marszcząc brwi. - Możesz się zarazić. Ten biedny chłopiec umrze przed wieczorem, jestem tego pewien!

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz - burknęła przygnębiona. Nieszczęsne dziecko, pomyślała i rozplakała się. - On przeżyje! Mylisz się!

Hermann pokręcił głową.

- Niestety. Kapitan oglądał go godzinę temu i też tak powiedział.

- Kiedy kapitan tam był? - spytała Edna z niedowierzaniem.

- Godzinę temu. Już mówiłem.

- A ja myślałam, że on się chorymi nie przejmuje.

- Oczywiście, że się przejmuje. W przypadku wybuchu epidemii kapitan zawsze odpowiada za pasażerów.

Edna chciała odejść, ale Hermann ją zatrzymał.

- Już dawno chciałem cię o coś zapytać - rzekł, chrząkając.

- O co chodzi?

Nagle wydał jej się skrępowany, musiała się uśmiechnąć.

- Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś zjeść dzisiaj ze mną kolacji.
- Dziękuję, bardzo chętnie - odparła pośpiesznie i znowu się uśmiechnęła.
- To co, o siódmej u mnie? - wykrzyknął Hermann.
- Tak, dziękuję - odparła zadowolona.

Naprawdę cieszyło ją to zaproszenie. Na statku tyle smutku i nieszczęścia, przyda się trochę odmiany.

Przechodząc obok Hermanna przypadkiem dotknęła jego ręki i nagle poczuła mrowienie pod skórą. Bardzo jej się to spodobało.

Kiedy zamykała drzwi do swojej kajuty, usłyszała rozzwierający krzyk. Zawróciła i pobiegła w tamtą stronę, po chwili wpadła na kapitana. On też wyglądał na przestraszonego.

- Tu jesteś! Potrzebuję twojej pomocy! Jedna z kobiet zaczęła rodzić, musisz zaraz ze mną pójść! Myślałem, że jakaś inna jej pomoże, ale one nie chcą, tłumaczą, że się na tym nie znają. Obawiam się, że coś może pójść źle.

O, nie, pomyślała. Cóż ja wiem o porodzie? Mimo to przytaknęła. Ktoś przecież musi pomóc.

Kapitan wziął ją za rękę i zaprowadził do dużego pomieszczenia. Panowało tam dławiące gorąco, pod ścianami stało mnóstwo łóżek.

- Tutaj jest za ciemno. Po prostu nic nie widzę - powiedziała Edna.

Kapitan zapalił oliwną lampkę. Na widok tego, co zobaczyła wokół, zrobiło jej się niedobrze. Nie umiałaby powiedzieć, ile kobiet i mężczyzn leżało na kojach, ciasno jedno przy drugim, stłoczeni niczym zwierzęta.

- Chodź tutaj. Tu leży rodząca. - Wskazywał ciemny kąt.

Edna zasłoniła usta ręką. Rodząca miała nie więcej niż trzynaście lat.

- Toż to przecież dziecko!

Zgnębiony kapitan otarł dłonią czoło.

- Wiem. Właśnie dlatego potrzebuję pomocy. Dziewczyna ma bóle od wielu godzin. Nie wiem, co robić.

Edna znowu się rozejrzała.

- Ona nie ma tu żadnych znajomych?

- Nie, podróżuje sama, i na tym właśnie polega problem. Pracowała w zamian za jedzenie i miejsce do spania, sprzątała kajuty po tamtej stronie. Ale teraz naprawdę nie wiem, co począć.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć i Edna podbiegła do niej.

- Będę potrzebować gorącej wody i szmat - powiedziała, pochylając się nad rodzącą.

- Ona ma na imię Ellen - wyjaśnił kapitan i poszedł po wodę.

Edna odsunęła koldrę i zobaczyła, że na posłaniu jest pełno krwi.

- Ja umrę - krzyczała Ellen, miotając się na posłaniu.

- Nie, nie umrzesz - pocieszała ją Edna, dotykając dłonią jej czoła. Na szczęście nie masz gorączki, stwierdziła.

- To Alf, to on mi to zrobił! To jego dziecko, zniszczył mi życie - szlochała dziewczyna.

Edna patrzyła w jej wielkie niebieskie oczy, przyglądała się szczupłej twarzy. Ciemne włosy lepiły się do policzków.

- Uspokój się, moja droga. Między kolejnymi skurczami leż spokojnie i odpoczywaj. Dziecko wkrótce się pojawi.

Ellen kręciła głową, oddychając ciężko.

- Ale ja prę i prę od dawna. Jakby to dziecko się we mnie zakleszczyło.

Edna była bliska rozpacz, w pewnym momencie ktoś do niej krzyknął:

- Ta dziewczyna leży tak od wielu godzin. Daj sobie spokój, ona umiera.

Edna patrzyła wstrząśnięta na pozbawionego uczuć młodego mężczyznę i przypominała sobie własny poród. Było to wydarzenie, o którym najchętniej by zapomniała, ale teraz wróciły wspomnienia. Mała córeczka została jej odebrana.

Ogarnął ją głęboki smutek, łzy cisnęły się do oczu. Musiała się jednak otrząsnąć i koncentrować na Ellen.

Wrócił kapitan z wiadrem wody i pękiem szmat.

- Proszę. I rób, co możesz - poprosił, odwrócił się i zniknął.

Edna stała bezradnie. Musi wezwać kogoś do pomocy. Zauważyła w pobliżu kobietę drzemiącą na koi i podeszła do niej.

- Hej, ty, obudź się! Jesteś mi potrzebna. Kobieta, którą Edna oceniała na jakieś osiemnaście lat, zamrugła powiekami.

- Do czego? - spytała zirytowana.

- Ty naprawdę nie słyszysz wrzasków tej dziewczyny?

Tamta przytaknęła.

- Oczywiście, że słyszę, ale dlaczego miałabym się tym przejmować? Przecież jej nie znam.

Wściekłość dosłownie chwyciła Ednę za gardło. Złapała kobietę za włosy i pociągnęła za sobą.

- Pójdiesz ze mną i będziesz pomagać. Chcesz, żeby ona umarła?

Tamta zawyła i zgięła się wpół.

- Nikomu nie chcę pomagać. Nie znoszę widoku krwi! - wrzeszczała.

Edna nadal ciągnęła ją za włosy, a potem poleciła zanurzyć szmaty w gorącej wodzie.

- Będiesz teraz robić, co ci powiem. - Znowu rozejrzała się po pomieszczeniu. - Czy ktoś jeszcze chciałby mi pomóc? - krzyknęła zrozpaczona.

Dziewczyna, którą za sobą przyciągnęła, nie nadawała się do niczego.

Ale nikt inny też nie zareagował, nikt zdawał się jej nie słuchać.

Na szczęście młoda dziewczyna zmieniła zdanie.

- Dobra, będę pomagać - burknęła.

- No to świetnie. - Edna puściła jej włosy i zajęła się Ellen. Przede wszystkim podciągnęła w górę koszulę. - Za wszelką cenę musimy pomóc temu dziecku wydostać się na świat.

- Dobrze, dobrze, już pomagam.

Edna próbowała obmyć rodzającą z krwi, która wciąż ciekła.

- Usiądź z tyłu za Ellen i podnieś jej ramiona - poleciła swojej pomocnicy. - Łatwiej jej będzie przeć.

Kiedy tamta nareszcie zrobiła, co jej kazano, Edna zaczęła uciskać brzuch Ellen. Był bardzo wzdęty i twardy.

- Musisz przeć - powiedziała, uśmiechając się do wyczerpanej dziewczyny. - Zrobię wszystko, żeby dziecko urodziło się jak najszybciej. Zaufaj mi.

Statek przechylił się gwałtownie na bok i Edna musiała przytrzymać się ściany. Kiedy odzyskała równowagę, Ellen zaczęła przeć. Edna zauważyła, że pomocnica jest biała niczym kreda, poza tym wciąż narzeka, że nie znosi widoku krwi. Ale trudno, lepsza taka pomoc niż żadna. Znowu zaczęła uciskać brzuch rodzącej.

- Pomagaj mi! Przyj! - Wciąż sprawdzała, czy nie widać główki. Ostrożnie próbowała zbadać rodzającą i z przerażeniem stwierdziła, że dziecko jest ułożone poprzecznie. To dlatego jeszcze się nie urodziło.

Ellen krwawiła tak bardzo, że nie dało się nad tym zapanować. Jeśli nie wydobędą z niej dziecka, z pewnością umrze.

Nagle usłyszała za sobą chrząknięcie.

Zobaczyła, że obok stoi Hermann.

- Macie trudności z wydobyciem dziecka? - spytał ochryple.

Edna przytaknęła z wysiłkiem.

- Wiele razy towarzyszyłem porodom zwierząt. Myślę, że nie ma wielkiej różnicy. Ty usiądź za dziewczyną i pomagaj jej przeć, a ja tutaj zrobię, co będę mógł.

Posłuchała natychmiast z wdzięcznością. Hermann usiadł na stołku i próbował obrócić dziecko w brzuchu matki,

Ellen znowu zaczęła krzyczeć, Edna ocierała jej szmatą czoło.

Dziewczyna, która wcześniej próbowała pomagać, zgięta wpół, jęczała.

- Muszę usiąść, nie mogę na to patrzeć.

Edna pozwoliła jej odejść, a Ellen wrzeszczała:

- Umieram! Ja nie chcę umierać.

- Cicho bądź, nie umrzesz - pocieszała ją Edna. - Hermann ci pomoże.

- Ale to strasznie boli - zawodziła tamta.

Nareszcie Hermann uniósł głowę.

- Udało mi się odwrócić dziecko. Przyj teraz, dziewczyno. Przyj.

Ellen posłuchała, wolno, ale zdecydowanie wypychała z siebie maleństwo. Urodziła się dziewczynka. Żywa.

Hermann śmiał się od ucha do ucha.

- Dałaś radę! Wygląda na to, że urodziłaś zdrowe, piękne dziecko. - Gestem przywołał do siebie Ednę. - Musisz teraz przeciąć pępowinę i otulić dziecko kocykiem.

- Dziękuję za pomoc, Hermann. Jestem ci naprawdę wdzięczna - powiedziała.

- Człowiek musi zrobić, co może, kiedy inni są w potrzebie - odparł zadowolony.

Edna przecięła pępowinę i otuliła małe ciało. Dziecko miało mnóstwo włosów, ciemnych z rudawym połyskiem. Było naprawdę ładne, pyzate.

Edna przytuliła je mocno do siebie i poczuła ciepło w sercu. Swojej córeczki nie mogła zobaczyć, bo okrutna akuszerka natychmiast ją zabrała. Znowu poczuła bolesny skurcz, ale próbowała nad tym zapanować. Popatrzyła na dziecko i pocałowała w czołko.

- Ty powinnaś być moja - szepnęła i właśnie w tej chwili mała otworzyła oczy, jakby zdumiona.

Za nimi ciężko oddychała Ellen. Edna podeszła do niej.

- Chcesz zobaczyć swoje dziecko? Tamta gwałtownie pokręciła głową.



- Nie! Zabierz ją stąd, nie chcę jej widzieć.

Edna była wstrząśnięta.

- Ale dlaczego?

- Zostałam zgwałcona. Nie chcę patrzeć na to dziecko. Zabierz ją!

Ellen odwróciła się na bok i szlochała rozpaczliwie.

Edna przerażona, spojrzała na Hermanna, który zawijał w ręcznik łożysko.

- To co ja mam teraz zrobić? - spytała.

Hermann zagryzał wargę.

- Nie mam pojęcia. Najwyraźniej jednak Ellen mówi poważnie. Na razie ty będziesz się musiała zająć małą.

- Ale przecież ja nie mogę! - Edna naprawdę nie mogła wziąć dziecka.

Rozglądała się bezradnie, tuląc do siebie małą.

- Nikt inny jej nie weźmie - rzekł Hermann, stając obok. - Ludzie, którzy się tutaj znajdują, dość mają własnych kłopotów.

Edna patrzyła na niego wstrząśnięta. Słowa więzły jej w gardle. Nie mogła powiedzieć Hermannowi, że jest mężatką. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że lubi go coraz bardziej.

- Planowałaś osiedlić się w Ameryce? - spytał Hermann.

- Nie, wrócę do Norwegii najszybciej, jak to możliwe. Nie powinnam była nigdy wyruszać w tę podróż.

Hermann drapał się po głowie.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- To długa historia i nie mam ochoty opowiadać jej właśnie w tej chwili. - Popatrzyła na dziecko, które zaczynało się niepokoić. Wymachiwało rączkami i zaczęło płakać.

Hermann podszedł do Ellen.

- Musisz się zająć swoim maleństwem.

- Nie, nie chcę jej nawet tknąć. - Ellen wykrzywiła się i odwróciła głowę. - Dla mnie to dziecko może umrzeć.

Te brutalne słowa spadły na Ednę niczym smagnięcie bicia. Jej dziecko było oczekiwane. Płakała przez wiele tygodni po jego stracie, a tymczasem ta młoda matka pragnie, by jej dziecko zmarło.

Teraz ona usiadła obok Ellen.

- Moja droga, naprawdę masz serce porzucić tę kruszynę?

Ellen potwierdziła.

- Już mówiłam, że jej nie chcę. Zabierzcie ją stąd.

Edna tuliła do siebie śpiące dziecko i raz po raz całowała je w policzek.

- Widzę, że już się do niej przywiązałaś - powiedziała Ellen. - Możesz ją sobie wziąć.

- Tego nie można tak załatwić, dobrze o tym wiesz.

- Nie obchodzi mnie, co można. Weź ją.

Edna miała dość tej dziewczyny. Bez słowa odeszła, tuląc w ramionach zawiniątko.

- Moja mała dziewczynka. Mama będzie się tobą opiekować - powiedziała w jakiś czas potem. Nareszcie odzyskała córeczkę.

## Rozdział 9

Amalie stała na ganku i czekała, aż Kalle otworzy drzwi powozu. Z tyłu przywiązana była klacz, pobiegła więc, by się z nią przywitać. Zwierzę zarżało na jej widok, a ona z czułością gładziła je po chrapach.

- Nareszcie wróciłaś do domu!

Drzwi powozu się otworzyły i Inga wyskoczyła niemal wprost w objęcia Amalie.

- Jak ja tęskniłam za tobą! - wołała dziewczynka.

Amalie przykucnęła obok niej.

- I ja też, moja kochana. Dobrze się czujesz?

Inga przytaknęła.

- Dobrze, ale... Naprawdę możemy tu teraz mieszkać?

Amalie popatrzyła na Kallego.

- Tak, możecie.

Inga roześmiała się od ucha do ucha.

- Och, to wspaniale!

Kalle położył jej rękę na ramieniu.

- Idź na razie do domu, muszę porozmawiać z Amalie. - Po czym dodał: - Ja pojedę teraz do adwokata. - Mogłabyś się tymczasem zająć Ingą?

- Oczywiście. I mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Kalle kiwnął głową.

- Ja też mam taką nadzieję. Gra toczy się o przyszłość Ingi i nie dopuszczę, by ten drań odebrał jej dwór.

- Świetnie to rozumiem, Kalle.

Pomachała mu na pożegnanie, odwiązała klacz i pociągnęła ją za sobą do stajni. Zwierzę znowu cicho rżało. Najwyraźniej rozpoznaje stare kąty, pomyślała Amalie.

W kuchni Inga siedziała na ławie i jadła szarlotkę.

- Tak pięknie prosiła o kawałek ciasta, że nie mogłam odmówić - tłumaczyła Maren ze śmiechem.

- A jak już skończysz - Amalie zwróciła się do Ingi - Maren pokaże ci twój nowy pokój. I powiedz mi, czy dobrze ci było w Namna.

Inga przestała się uśmiechać.

- Dobrze, ale wiesz co, Amalie? Widziałam tego okropnego człowieka, który kiedyś mnie porwał przed naszego domu. Straszyl mnie i powiedział, że... - Inga przełknęła ślinę. - Powiedział, że dwór nie jest mój.

Amalie pochyliła się nad dziewczynką.

- A mówiłaś o tym Kallemu?

Inga pokręciła głową.

- Nie.

- Inga, chodź już, pokażę ci twój pokój - zawołała Maren.

Mała zeskoczyła z ławy i pobiegła.

Amalie wyglądała przez okno. Jak tylko Kalle wróci, trzeba mu o tym powiedzieć. Cieszyła się bardzo, że oni tu teraz będą. Boże, a gdyby Inga znowu została uprowadzona? I tak szczęście, że ten Amund nie zrobił jej krzywdy.

Było już bardzo ciemno, kiedy Kalle wrócił. Amalie czekała na niego chwilę na dziedzińcu. Drżała z zimna.

- W końcu rozmówiłem się z adwokatem - oznajmił, podchodząc. - On uważa, że testament jest ważny. Jednak zanim da mi ostateczną odpowiedź, chce dokładniej zbadać sprawę.

- To chyba dobrze? - spytała Amalie.

- Tak, wtedy będziemy mieć pewność. Czy Inga już śpi?

Amalie przytaknęła.

- Śpi, ale przedtem opowiedziała mi, że w waszym dworze pojawił się Amund i z nią rozmawiał.

- Co? - Kalle był wstrząśnięty.

- Jak dobrze, że przyjechaliście tutaj. Tu Inga jest bezpieczna.

Kalle z trudem chwycił powietrze.

- Jestem zmęczony i chciałbym się położyć.

Razem weszli na schody, w holu Kalle uśmiechnął się:

- Dziękuję ci za pomoc, Amalie. Wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczny, prawda?

- Wiem, Kalle. A teraz dobranoc. Zobaczymy się jutro.

Spojrzała na śpiącą córeczkę, potem położyła się do łóżka i patrzyła w sufit. Przypomniała sobie, jak ostatni raz kochali się tu z Mittim.

Nagle gwałtownie usiadła na posłaniu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz krwawiła. Przepęłił ją żal. Myślała tylko o Mittim i o miłości, którą utraciła. Teraz położyła rękę na brzuchu. Czy to możliwe, że jest w ciąży? Ale przecież ani razu nie miała mdłości, żadnych innych objawów też nie.

Amalie znowu opadła na poduszki i westchnęła. Wyobraża sobie tyle różnych rzeczy. Oczywiście, że nie jest w ciąży. Mimo to uśmiechnęła się sama do siebie - nie miałyby nic przeciwko temu.

Amalie jechała konno wiejską drogą, towarzyszył jej robotnik. Nie była zadowolona, że jej nie odstępował ani na krok, ale nic nie mogła powiedzieć. On ma przecież na myśli tylko jej dobro. Teraz jechała do Helene Sørle, by pożegnać się z Andreasem na wypadek, gdyby naprawdę miał zamiar wyjeżdżać. Miała nadzieję, że go zastanie. Chciała jeszcze raz choćby na krótko go zobaczyć.

Jest nim zainteresowana, to musiała przyznać.

Kiedy zobaczyła dwór Helene, poczuła, że z przejęcia kurczy jej się żołądek. Nieraz myślała, że rozmowa z Andreasem jest ważna. Każdej nocy pojawiał się w jej sennych marzeniach, a raniem odczuwała w ciele tęsknotę.

Prószył śnieg, poczuła się wolna, tylko ta tęsknota...

Niezależnie od tego, co się stało, potrafiła się cieszyć. Czasami ogarniała ją taka radość, że śmiała się, tańczyła, galopowała konno po lesie. Wciąż nie była pewna, czy nie jest w ciąży, ale kiełkowało w niej ziarno nadziei. Bardzo by chciała urodzić dziecko Mittiego. Miałyby w życiu coś po nim.

Wjechała na dziedziniec i zeskoczyła z siodła. Chłopiec stajenny zajął się Czarną.

- Czy mam zostawić klacz na dworze?

Amalie przytaknęła, wbiegła na schody i zapukała. Drzwi otworzyły się nagle, stanęła przed nią służąca.

- Czego pani sobie życzy? - spytała, dygając.

Amalie o mało nie parsknęła śmiechem. Helene wprowadziła w swoim domu coś w rodzaju etykiety, dokładnie poinstruowała służbę, jak mają się zachowywać wobec gości.

- Chciałabym rozmawiać z Andreasem. Zastałam go? - Serce biło jej głośno z przejęcia. Służąca pokręciła głową.

- Nie, pojechał na polowanie.

- A nie wiesz dokąd? - spytała Amalie, jękając się.

- Niestety nie, proszę pani.

Amalie postanowiła go odszukać. Podziękowała za informacje i wróciła do Czarnej.

- Chodź, moja panienko! Teraz musimy znaleźć Andreasa.

Robotnik, który jej towarzyszył, czekał na drodze i teraz znowu za nią ruszył.

Jechali przez gęsty, ośnieżony las. Robotnik zachowywał stosowną odległość. Wołała nie mieć go zbyt blisko, kiedy znajdą Andreasa, ale nic nie mogła powiedzieć, przynajmniej nie teraz.

W pewnym momencie otworzyła się przed nią spora polana i zobaczyła tam Andreasa siedzącego na kamieniu, ze strzelbą tuż obok.

- Andreas! - pomachała mu na powitanie.

Mężczyzna zerwał się na równe nogi, chwycił strzelbę i ruszył jej na spotkanie.

- Boże, co ty tu robisz? - Popatrzył gdzieś ponad jej głową i zmarszczył brwi na widok towarzyszącego jej robotnika. - Masz opiekuna?

- Tak, muszę mieć. Sigmund się tu pojawił i... - Słowa uwięzły jej w gardle.

Nagle ogarnął ją wstyd i nie wiedziała, co powiedzieć.

- I co z tym Sigmundem? - dopytywał się Andreas.

- Zaatakował mnie w oborze.

Andreas pokręcił głową.

- Tego człowieka należałoby wsadzić do kryminału.

- Tak, masz rację - wykrztusiła. Ale przecież nie przyjechała tu, by rozmawiać o Sigmundzie. Zsunęła się z siodła. - Moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

- Tak, chodź tutaj. - Poprowadził ją nad brzeg wody, gdzie mogła usiąść na pieńku. - W czym mógłbym ci pomóc? - spytał zaczepnie.

Amalie przełknęła ślinę.

- Na co teraz polujesz? - Zdała sobie sprawę, że się czerwieni.

Co za głupie pytanie. Andreas się uśmiechnął.

- Przyjechałaś aż tutaj, żeby mnie o to spytać?

Amalie spuściła wzrok.

- Nie, ale... Dlaczego musisz wyjeżdżać? - spytała w końcu.

- Mówiłem ci, dlaczego.

Amalie zerwała się z miejsca.

- Mówiłeś, ale przecież nie możesz wszystkiego zostawić. Jesteś tu u siebie, należysz do tych lasów, do tej okolicy. Co zrobi twoja matka, kiedy ją opuścisz? Wiesz, jaka jest samotna. - Zakryła usta dłonią. Chyba się zagalopowała.

- Daj spokój, Amalie. Już podjąłem decyzję i tak będzie - odparł z uśmiechem.

Mogłaby krzyczeć z powodu własnej głupoty. Jak może mu się tak narzucać?

- Nic więcej nie powiem - westchnęła, wpatrując się w czubki swoich butów. Była czerwona ze wstydu. Biega oto za mężczyzną, który jej nie chce. Jak mogła się tak wygłupić?

Uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Życzę szczęśliwej podróży.

Odwróciła się, by odejść, ale Andreas położył jej rękę na ramieniu.

- Droga Amalie, rozumiem, co masz na myśli. Matka jest samotna, to prawda, ale przecież ja pewnego dnia wrócę. Nie wyjeżdżam na zawsze.

- Jesteś tego pewien? - spytała cicho.

W duszy miała pustkę.

- Tak, wrócę na pewno.

Amalie skinęła głową.

- W takim razie życzę, żeby ci się wszystko dobrze ułożyło.

- Jeszcze nie skończyłem polowania. Chciałabyś mi towarzyszyć? - spytał z uśmiechem.

- Tu niedaleko widziałem łosia. Może uda mi się go dopaść.

Propozycja była kusząca. Poza tym Amalie nie miała ochoty się z nim żegnać. Chciała wykorzystać czas przed jego wyjazdem.

- Dobrze, będę ci towarzyszyć - rzekła zdecydowanie.

Wtedy przypomniała sobie o robotniku, który w siodle czekał na skraju lasu. Gwizdnęła na niego, a on podjechał. Poleciała mu wracać do domu. Z Andreasem jest bezpieczna, poza tym mają broń.

Andreas podbiegł do Amalie, która potknęła się o jakąś gałąź. Teraz wybuchnęła śmiechem na widok jego zmartwionej miny.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytał też rozbawiony.

- Przepraszam - wykrztusiła Amalie, śmiejąc się jeszcze głośniejsze.

Zatrzymał się przed nią.

- Masz w sobie coś niezwykłego, Amalie. Wprawdzie ja nie znam wielu kobiet, ale ty jesteś wyjątkowa.

- Dziękuję. - Spuściła wzrok, ale on uniósł w górę jej brodę, więc musiała na niego spojrzeć.

- Wyjeżdżam z ciężkim sercem i chciałem ci to powiedzieć. Nie myśl, że to dla mnie łatwe, ale to nie ja decyduję... Nie miałem zamiaru ci o tym mówić, ale powinienem wrócić do przytułku. Jest coś, co muszę tam wyjaśnić.

- Co takiego? - spytała niepewnie.

Patrzyła mu głęboko w oczy, serce tłukło się jej w piersi.

Andreas opuścił ręce.

- Niech diabli wezmą to twoje spojrzenie. Masz takie piękne oczy. Ja muszę wyjaśnić, czy... - spojrzał na nią z wielką powagą. - Pamiętasz, jak opowiadałem ci o tym mężczyźnie, który zwariował, a potem zniknął z przytułku? O tym, który źle mówił po norwesku?

Amalie przytaknęła.

- Pamiętam.

- Otóż muszę wyjaśnić, kim on był. Jestem tę przysługę winien przyjacielowi. Początkowo nie wyglądało na to, że będę musiał. No, ale o tym porozmawiamy innym razem. Popatrz tam, przez pole biegnie łoś.

Amalie patrzyła na wielkie, pełne gracji zwierzę. Zaraz potem zobaczyła całe stado wybiegające z zagajnika.

- O, Boże! - zawołała podekscytowana.

- Cofnijmy się, żeby nas nie zobaczyły - powiedział Andreas.

- One z pewnością już nas dostrzegły. Wyczuwają człowieka na odległość.

- Tak, ale mimo wszystko chodź. - Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.



- Jesteś pewien, że chcesz ustrzelić takie piękne zwierzę? - spytała w chwilę później. Andreas spojrział zdumiony.

- Boże, a ja myślałem, że lubisz polowania.

- Tak, ale akurat nie w tej chwili.

On przystanął, oparł strzelbę o pierś i wycelował w zwierzę stojące najbliżej.

Amalie zawsze lubiła polowania, ale teraz patrzyła na to ze zgrozą. Zastawianie wnyków, polowanie na drobną zwierzynę nie jest takie złe, ale patrzeć w piękne oczy skierowane na siebie, i celować?

- Ruszam w stronę domu, Andreas. Nie jestem w stanie patrzeć, jak to zwierzę padnie.

Andreas opuścił strzelbę.

- No to dajmy zwierzętom spokój na dzisiaj. Odprowadzę cię do domu, może później zapoluję jeszcze sam.

- Nie wiem dlaczego, ale nie byłabym w stanie patrzeć, jak strzelasz do tego pięknego zwierzęcia.

- Polowanie to nie jest zajęcie dla kobiet - rzekł Andreas. - Matka mówiła mi, że twój ojciec zabierał cię do lasu, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką. No, ale teraz jesteś dorosła. - A po chwili dodał: - Tam stoi twój koń - powiedział Andreas. Podbiegł do Czarnej, odwiązał lejce i wskoczył na siodło. - Chodź, Amalie. Usiądź za mną.

Zrobiła, jak powiedział, objęła go w pasie i musiała bardzo nad sobą panować, by nie przytulić policzka do jego pleców. Przyglądała się jego włosom spływającym na ramiona. Jaki to piękny mężczyzna, pomyślała z uśmiechem.

- Siedzisz wygodnie? - spytał przez ramię.

- Tak - odparła Amalie.

- W takim razie ruszamy do Tangen.

Słońce świeciło, śnieg skrzył się w jego blasku. Amalie rozkoszowała się bliskością Andreeasa, jego ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, jakie jej dawał. Naprawdę bardzo pragnęła, by nie opuszczał Fińskiego Lasu.

- Chciałabym, żebyś został ze mną - mruknęła.

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział i Amalie zaczęła się niepokoić. Czy znowu powiedziała coś głupiego? Andreas ściągnął wodze i zatrzymał Czarną.

- Naprawdę chciałabyś mnie tu mieć? - spytał, odwracając głowę.

- Tak - potwierdziła cicho.

- A dlaczego?

Zauważyła, że on się uśmiecha. Co powinna odpowiedzieć? Lubi go, jest taki dobry i miły. Lubi, kiedy ją dotyka, krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, kiedy on na nią patrzy. Jestem w nim zakochana, pomyślała i pogłaskała go po plecach.

Andreas ujął jej dłoń i mocno uściskał.

- Bardzo cię lubię, Andreas - wyszeptała. Nieoczekiwanie mężczyzna odepchnął jej dłoń.

- Powiedziałam coś nie tak? - spytała zmieszana. Andreas pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Pamiętam, jak ci wyznałem, że cię Kocham. Ale ty nie możesz teraz mówić takich rzeczy, Amalie. Dostałem wiadomość, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka. Co ty wygadujesz?

- Nie ma o czym mówić. Jest, jak jest. Możemy być tylko przyjaciółmi.

Ogarnęło ją niewypowiedziane rozczarowanie. Miała nadzieję, że Andreas ją lubi. Była też zdezorientowana. Bo czyż nie dostrzegała miłości i pożądania w jego wzroku?

- Nic nie rozumiem, Andreas.

- Nie pogarszaj spraw, które i tak są trudne, Amalie. Ja muszę wyjechać.

Kiedy w jakiś czas potem zbliżali się do dworu i Amalie widziała przed sobą dom mieszkalny, wielki, górujący nad obejściem, czuła się bardziej zagubiona niż kiedykolwiek.

Andreas zeskoczył z siodła i wyciągnął rękę.

- Pomogę ci zsiąść - powiedział i uśmiechnął się blado.

Amalie nie było do śmiechu, skrzywiła się tylko i bąknęła „dziękuję”.

Zsunęła się z siodła i poprawiła płaszcz. Andreas klasnął w dłonie.

- No to w porządku, wracam do lasu. Dziękuję za towarzystwo.

Serce Amalie biło głośno. Białe zęby i lśniące oczy tego mężczyzny całkowicie ją oszalały. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie idź, bardzo cię proszę!

- Przecież muszę dokończyć polowanie - westchnął zakłopotany. Poza tym możemy się spotkać innego dnia. Wyjadę do Kristianii dopiero za tydzień. Przyjedź kiedyś do mojej matki, to porozmawiamy.

Amalie zawstydziła się. Jak może się tak zachowywać, niemal na klęczkach prosi go, by został.

Nie mówiąc już nic więcej, odwróciła się i odeszła. Miała nadzieję, że będzie próbował ją zatrzymać, wytłumaczy, co się dzieje, ale była to nadzieja płonna. Kiedy się odwróciła, Andreeasa nie było. Widać jej nie kocha.

## Rozdział 10

Amalie rzuciła się na łóżko i podciągnęła kołdrę pod brodę. Narastała w niej irytacja. Co ona sobie właściwie wyobrażała?

Być może jest brzemienna, żaden mężczyzna jej teraz nie zechce, a już w każdym razie Andreas. W jednej chwili wszystko wydawało jej się kompletnie beznadziejne, w drugiej jednak cieszyła się z tej ciąży. To dziecko Mittiego, a przecież tak bardzo go kochała.

Usiadła na posłaniu, zdecydowana jechać do doktora Bjørliego. Może on stwierdzi w jakim naprawdę jest stanie.

Wyszła z pokoju, w holu spotkała Maren.

- A ty dokąd tak pędzisz? - spytała służąca.

- Muszę pojechać do doktora Bjørliego.

- Do doktora? - zdziwiła się tamta. - Po co? Źle się czujesz?

- Ja... - Amalie zagryzła wargi.

Nie miała ochoty opowiadać o swoich podejrzeniach.

- Ty jesteś w ciąży - stwierdziła Maren.

- Tego jeszcze dokładnie nie wiem.

- Jesteś. Zauważyłam to już jakiś czas temu, ale sądziłam, że nie chcesz jeszcze o tym rozmawiać. Amalie wpatrywała się w podłogę.

- Tyle miałam na głowie, że brak miesiączki nie zwrócił mojej uwagi. Innych objawów też nie mam, może dlatego nie pomyślałam...

- No to jedź do doktora.

Amalie zastanawiała się przez chwilę. Od śmierci Mittiego upłynęło już trochę czasu, ale przecież kochali się wielokrotnie po tym, jak straciła poprzednie dziecko. Czy mógłby to już być trzeci miesiąc?

- Szybko wrócę - powiedziała, wychodząc. Nagle na ganku zrobiło się jakieś zamieszanie.

Czyżby ktoś przyszedł?

Drzwi się otworzyły i do holu wkroczyła Petra. Amalie od dawna jej nie widziała.

Przyjaciółka szła ku niej z otwartymi ramionami.

- Amalie, no i jak tam twoje sprawy? Tak bardzo mi ciebie żal, wciąż tracisz mężów.

- Jakoś sobie radzę, Petra. - Amalie musiała się uśmiechnąć.

Petra zawsze taka jest - uczucia okazuje w bardzo teatralny sposób. Ale trzeba było odłożyć wyjazd do doktora, Petra rzadko ją ostatnio odwiedzała.

- Słyszałam, że wpadłeś do bagna, a pani Vinge zostawiła cię i uciekła - mówiła Petra podekscytowana.

Amalie przytaknęła. Petra przyszła, żeby posłuchać plotek. Cała ona.

- Prawda, przejdźmy do salonu.

Usiadły na kanapie, Maren przyniosła im kawę i ciasto, a kiedy wyszła, Petra uśmiechnęła się:

- Poszcęściło ci się z tą Maren. Jaka to miła osoba - powiedziała, nalewając sobie kawy.

- No właśnie. Zajmuje się prowadzeniem domu, mówi, że obiecała Olemu, iż się mną zaopiekuje i zamierza słowa dotrzymać.

Petra zaskoczona, uniosła brwi.

- Jezu, o tym nie wiedziałam! No tak, Ole. Jeszcze za nim tęsknisz?

Amalie piła kawę.

- Tak, oczywiście. Ole zawsze pozostanie w moich myślach. Kajsja jest taka do niego podobna, nigdy nie będę mogła o nim zapomnieć. No, ale mów, co u ciebie.

- Wszystko w porządku, znacznie lepiej niż przedtem. Iver jest zakochany w naszym synku, a ja niedługo urodzę drugie dziecko. - Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Gratuluję, miło to słyszeć.

- Tak, możesz mi wierzyć, że już nie mogę się doczekać. Dziecko urodzi się na wiosnę.

- Ja też jestem w ciąży. - Amalie znowu napiła się kawy.

Nie bała się przekazać Petrze nowiny. Ona nigdy złego słowa o niej nie powiedziała.

Petra zakrztusiła się i zaczęła kaszleć.

- Co? Ale przecież jesteś sama i... - W jej oczach pojawiło się zatroskanie.

- Tak, ale to dziecko Mittiego, bardzo jestem wdzięczna losowi.

- No cóż, to twoje życie, ale nie jest łatwo kobiecie samotnej. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, ważne jest, byś znalazła sobie męża.

Amalie przyglądała się swoim dłoniom.

- Nie mam ochoty ponownie wychodzić za mąż, przecież Mitti zmarł nie tak dawno.

- Machnij na to ręką, nikt się tym nie przejmie. Mitti był tylko zwyczajnym fińskim chłopakiem.

Amalie rozzłościł ton przyjaciółki.

- Tylko że to był najsympatyczniejszy chłopak na świecie. Każdego dnia za nim tęsknię - rzekła cicho.

- Rozumiem, ale jesteś w ciąży i powinnaś mieć mężczyznę u boku.

Amalie spoglądała na nią z rozpaczą.

- Przecież nikt mnie nie zechce. - Pomyślała o Andreasie i poczuła ucisk w gardle.

Petra patrzyła na nią z otwartymi ustami.

- Teraz to już wygadujesz głupstwa. Znam przynajmniej jednego, który by cię chciał, i to nawet bardzo.

- Naprawdę? A kto to taki?

- Paul.

Amalie machnęła ręką.

- Paul? To tylko przyjaciel.

- A jednak powinnaś się nad tym zastanowić. To mogłoby być dobre rozwiązanie. On nosiłby cię na rękach. To wprawdzie pewna niedogodność, że oczekujesz dziecka innego mężczyzny, ale jestem pewna, że Paul i tak chciałby cię poślubić. To chrześcijanin, i bardzo w tobie zakochany. Byłabyś z nim szczęśliwa. - Przysunęła się bliżej. - Słyszałam, że ostatnio spotykałaś się z Andreasem. Jak on się teraz czuje?

- To ty znasz Andreasa? - spytała Amalie zdumiona.

- Oczywiście.

- Andreas mnie nie chce i to sprawia mi ból. Dobrze się czuję w jego towarzystwie, powoduje, że często się śmieję, ale...

- Z tego to powinnaś się tylko cieszyć. Andreas to człowiek chory.

- Kto ci tak powiedział?

Petra machnęła ręką.

- Wszystko jedno kto, ale słyszałam, że Helene była zrozpaczona, kiedy zamknięto go w przytułku, bo kompletnie stracił rozum.

Amalie słuchała ze złością.

- Przecież to było wiele lat temu. Teraz Andreas jest zdrowy. Słyszałaś po prostu złośliwe plotki.

- No dobrze, ale pani Vinge jest pewna tego, co mówi.

Amalie podskoczyła.

- Co? Słuchasz pani Vinge?

Petra przytaknęła.

- Tak, to osoba bardzo dobrze poinformowana, sama musisz przyznać. I nie ma powodu, by kłamać.

Amalie przypomniała sobie wydarzenia na bagnach, kiedy obie o mało się nie potopiły. Pani Vinge zostawiła ją na pastwę losu i to Andreas ją uratował, wyciągnął z błotnistej mazi.

Pani Vinge tłumaczyła, że była zakochana w Jensie i chciała zobaczyć, gdzie on umarł. Dlaczego więc rozpuszcza paskudne plotki na temat Andreasa? To przecież syn Jensa, mężczyzny, którego kochała.

- Nie rozumiem pani Vinge. Myślałam, że już przestała plotkować o innych.

- Nie, ona nigdy nie przestanie. Poza tym nie ma co robić. Jest sama.

Amalie odwróciła się, bo do salonu wszedł Tron. Na widok młodego wilczka depczącego bratu po piętach ogarnęło ją przerażenie.

- Tron, ty jesteś tu zawsze mile widziany, ale nie możesz wprowadzać do domu dzikiego zwierzęcia - zawołała z wyrzutem.

Tron uśmiechał się uspokajająco.

- Chyba cię nie przestraszyłem, Petra. On nie jest groźny. To jeszcze szczeniak.

- Trzymasz w objęciu wilka? - spytała przerażona Petra.

Tron przytaknął.

- Owszem, jest moim dobrym kolegą, zupełnie niepłochliwym.

- Tron, wyprowadź go stąd! Nie widzisz, że Petra się boi? - mówiła Amalie ze złością.

Sama jednak nie była w stanie oderwać wzroku od małego drapieżnika. Miał intensywnie niebieskie oczy, futro gęste i szare. Ukucnęła przed wilczkiem i zaczęła go głaskać.

- Jakiś ty piękny - powiedziała z uśmiechem.

Wilczek popatrzył na nią mądrymi oczkami i położył się na podłodze.

- Zachowuje się jak pies i ma już swoje maniery - śmiał się Tron.

- A znalazłeś dla niego jakieś imię? - spytała siostra.

- Tak, nazywa się Wilk. Uważam, że to najodpowiedniejsze.

- Tylko że nie możesz trzymać go w domu - wtrąciła Petra.

Tron spojrział na nią ponuro.

- Kto tak postanowił?

- Wydaje mi się, że to niedozwolone - odparła Petra z uporem.

- No dobrze, Tron, co cię tu sprowadza? - Amalie zmieniła temat. - Myślałam, że masz dużo pracy.

- Mam - odparł. - Ale zawsze znajdę trochę czasu, by porozmawiać z własną siostrą. Dopiero co byłem we wsi. Słyszałem, że dawno cię tam nie widzieli. Kupiec pytał nawet, czy nie jesteś chora.

- Nie miałam ochoty na odwiedzanie wsi.

- W takim razie nie słyszałaś ostatnich nowin.

- A co? A co? - wykrzyknęła zaciekawiona Petra, która wciąż przyglądała się wilkowi.

- No właśnie, opowiedz nam, Tron. Jestem co najmniej tak samo ciekawa jak Petra.

- Chodzi o Vigdis. Ona i jej mąż, lensman Erik Bordi, wrócili do Svullrya. Pan Bordi kupił ten stary dwór na zboczu, tu niedaleko. Kiedy jednak przyjechali, okazało się, że gospodarza nie ma i nic nie zostało przygotowane na ich przyjęcie. Nie dość na tym, to Vigdis i pan Bordi musieli na razie przenieść się do starego szałas, w którym my kiedyś znaleźliśmy *Czarną Księgę*. - Tron spoglądał na obie panie i uśmiechał się zadowolony. - Wiecie chyba dobrze, co to oznacza. Jestem pewien, że nawiedzają ich tam upiory.

Amalie słuchała brata, ale słowa docierały do niej niczym dalekie echo. Oczyma wyobraźni zobaczyła zakapturzonego mężczyznę o diabelskim uśmiechu i czarnych oczach. Czują, że strach ją paraliżuje. Ktoś powinien ostrzec Vigdis, bo jak nie, to może im się stać coś złego.

W tym szałasie gnieździ się zło. Nikt nie może tam mieszkać, by nie zostać naznaczonym. Tam przecież znaleźli magiczną księgę, to tam przeniknął ją lodowaty chłód, kiedy ciskała księgę w płomień.

- Amalie, tak bardzo się tym przejęłaś? - spytał Tron zmartwiony.

Ona widziała go jak przez mgłę.

- Powinieneś ich ostrzec, Tron. Tam jest bardzo niebezpiecznie.

Tron kręcił głową.

- Dotarcie do szałas jest teraz niemożliwe. Wszędzie zalega głęboki śnieg.

- Ale coś musisz zrobić, bardzo cię proszę. Petra wstała. Najwyraźniej nie podobał jej się obrót, jaki przybrała rozmowa.



- Muszę wracać do domu. A ty, Tron, pozbądź się drapieżnika. Wkrótce wyrosnie na ogromną bestię i zacznie atakować mieszkańców wsi.

Tron patrzył na nią gniewnie.

- Ty się w to nie mieszaj. Ja odpowiadam za wilka, jest oswojony niczym pies.

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam. - Popatrzyła na Amalie. - A ty się nie bój, z Vigdis na pewno wszystko będzie dobrze. Jej mąż jest przecież lensmanem, potrafi ją ochronić.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Amalie.

- Za bardzo się wszystkim przejmujesz. To jakieś zło i zakapturzeni mężczyźni to przecież głupstwa. No dobrze, któregoś dnia znowu cię odwiedzę. Dziękuję za kawę.

Amalie uściskała przyjaciółkę.

- A ty nie musisz się martwić o Trona i jego wilka. Mój brat wie, co robi.

Petra przytaknęła i wyszła, a Amalie znowu zwróciła się do Trona:

- Weźmiemy konie i pojedziemy do lasu, żeby ich ostrzec.

Brat stanowczo pokręcił głową.

- Niestety, nie dostaniemy się na miejsce.

- Chcesz, żeby im się coś stało?

- Nie, ale to kompletnie beznadziejne, Amalie. Musimy kierować się rozsądkiem. Oni z pewnością zjedną na dół do wsi, jeśli poczują się w szalacie zagrożeni. A teraz muszę już wracać do domu.

Amalie rozważała różne możliwości. Skoro Tron nie chce, to może mogłaby spytać Andreasa. On jej chyba nie odmówi?

- No to wracaj do rodziny, bracie. On popatrzył zaskoczony.

- Co ty znowu knujesz? Powiedz mi. Ja cię dobrze znam.

Nie miała ochoty opowiadać mu o Andreasie, ale zanim zdążyła się zastanowić, już mu wszystko wygadała.

Tron wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Amalie, nie możesz biegać za mężczyzną, który cię nie chce.

- Przecież ja za nim nie biegam, Tron. Po prostu dobrze się czuję w jego towarzystwie.

Podszedł do niej i ukucnął, pochwycił jej wzrok.

- Musisz mnie teraz wysłuchać, Amalie. Ja, jako mężczyzna, nigdy bym nie zniósł, gdyby jakaś kobieta wciąż się przy mnie kręciła. Kobiety nie powinny zachowywać się lekkomyślnie.

Amalie nigdy tak na swoją sytuację nie spojrzała.

- Możliwe, że masz rację - bąknęła, spuszczać wzrok.

- Musisz mieć trochę więcej cierpliwości, tylko tyle. Wkrótce on zjawi się przed twoimi drzwiami jako konkurent.

- Tak myślisz? Tron przytaknął.

- Ale czy naprawdę zapomniałaś już Mittiego?

- Nie zapomniałam, tylko że przecież muszę żyć dalej. Nie jestem w stanie wciąż trwać w żałobie.

- I naprawdę zakochałaś się w Andreasie?

- Tak, lubię go.

Tron znowu wstał i podszedł do drzwi. Wilk za nim.

- A teraz mi obiecasz, że nie pojedziesz do szafasu.

- W porządku, obiecuję.

- No to ja wracam do domu.

- Pozdrów Tannel.

Po jego wyjściu Amalie ogarnął niepokój. Wyjrzała przez okno i patrzyła na brata biegnącego przez dziedziniec z małym wilczkiem u boku.

Stanowią niezwykłą parę, pomyślała.

# Rozdział 11

Amalie niespokojnie krążyła po salonie. Właśnie wróciła ze spaceru z Kajsą. Dziecko spało, a ona była sama. Wciąż w wyobraźni widziała szalas i czuła grozę. Zastanawiała się, co z Vigdis.

Obiecała bratu, że tam nie pojedzie, zresztą sama wiedziała, jaki to beznadziejny pomysł. Okolica pokryta jest wielkimi zaspami śniegu, w dodatku wciąż pada.

Nic nie mogę zrobić, stwierdziła i usiadła przed kominkiem.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął doktor Bjørlie.

- Co pan tu robi, doktorze? - spytała zdumiona.

- Maren po mnie przysłała. Chce, żebym cię zbadał.

Powinna się tego domyślić. Maren opiekuje się nią niczym matka. Ponieważ Amalie nie miała czasu pojechać po doktora, ona sprowadziła go tutaj.

- Proszę, niech pan siada - rzekła uprzejmie.

Doktor posłuchał, torbę lekarską postawił sobie na kolanach.

- Maren mówi, że chyba jesteś w ciąży?

Amalie przytaknęła.

- Zgadza się.

- Mogę osłuchać ci brzuch, żeby sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku.

- Dobrze, w takim razie przejdźmy do mojego pokoju.

Badał ją długo, a potem pokiwał głową.

- Rzeczywiście, to ciąża. - Wyjął jeszcze aparat do osłuchiwania. - Słyszę też bicie serca dziecka, moja kochana. Wiesz, kiedy spodziewać się porodu?

Amalie pokręciła przecząco głową.

- Całkiem pewna nie jestem, prawdopodobnie w maju. - Zalały ją gwałtowne uczucia. Dotychczas domyślała się, że mogłaby być w ciąży, ale teraz wie to na pewno. Miała wrażenie, że Mitti stoi obok i mówi: „Będziemy mieć wspólne dziecko, Amalie.

Choć nie jesteśmy razem, wciąż będziemy połączeni. Poprzez to dziecko".

- Dziecko czuje się dobrze i ty też ładnie wyglądasz. Był czas, że się o ciebie obawiałem.

Po śmierci Mittiego.

- Dziękuję - szepnęła Amalie i obciągnęła suknię.

- Pewnie się cieszysz, że urodzisz jego dziecko.

Przytaknęła.

- Tak, to prawda.

- No to życzę ci szczęścia - powiedział doktor, szykując się do wyjścia.

Potem Amalie położyła się na łóżku i patrzyła w sufit. To dziwne, że znowu zostanie matką. Myślała o tym z przyjemnością, przepelniała ją radość. Jedyne, co ją męciło, to nieobecność Mittiego.

Z Olem było podobnie. Żaden z jej mężów nie doznał radości poznania swojego dziecka.

Amalie rozejrzała się po pokoju i odniosła wrażenie, że ktoś przy niej jest.

- Czy to ty, Mitti? - spytała.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła go, jak leży na marach i zadrżała. Nie takim pragnęła go widzieć. Chciała pamiętać żywego człowieka.

„Strzeż się bagien. Masz wrogów. Wróg ci grozi. Grozi... Grozi...”

Przełknęła ślinę.

- Zostań ze mną - wyszeptała, ale poczucie, że on tu jest, raptem się ulotniło. Została sama. O co chodziło z tym bagnem? Serce biło wolno, jakby miało zamiar się zatrzymać. Co ją teraz czeka?

Amalie przygotowała posiłek robotnikom, którzy teraz zajadali z apetytem. Maren nie pozwalała jej ciężko pracować, ale dzisiaj Amalie nie chciała ustąpić. Poprosiła służącą, żeby poszła do siebie i odpoczęła.

Amalie szukała zajęcia, siedzenie z pustymi rękami zbyt już dało jej się we znaki. Teraz była w końcu zadowolona.

Julius uśmiechnął się do niej znad talerza, ona też odpowiedziała uśmiechem. Mimo zadowolenia nie była w stanie uwolnić się od smutku. Po tym, jak miała wrażenie, że odwiedził ją Mitti, nie mogła zaznać spokoju.

Amalie otuliła się płaszczem i wybiegła na drogę. Dławił ją płacz. Łzy oślepiały, ale próbowała się opanować, bo rozległ się za nią stukot końskich kopyt. Po chwili stanął przed nią Andreas.

- Płaczesz, Amalie? - spytał z powagą.

Spojrzała na niego przez łzy, otarła oczy wierzchem dłoni.

- Nie, to tylko ten wiatr...

- Mnie nie oszukasz. Dobrze widzę, że płakałaś. Dlaczego? - Zeskoczył z konia i ujął jej rękę. - Popatrz na mnie, Amalie. Dlaczego ty płaczesz?

- Bo strasznie mi dzisiaj smutno - odparła w końcu.

- Dlaczego?

Wreszcie spojrzała mu w oczy, choć tego nie chciała.

- Bo jestem... jestem w ciąży.

Andreas puścił jej rękę i odskoczył.

- Ale, na Boga! Jakim sposobem?

- To dziecko Mittiego - odparła pośpiesznie.

Andreas najwyraźniej podejrzewał ją o rozpustę.

Dostrzegła rozczarowanie i potępienie w jego wzroku, ale po ostatnich jej słowach pojawiła się ulga.

- Pomyślałeś coś innego, jak widzę - szepnęła. Andreas pokręcił głową.

- Sam nie wiem, co pomyślałem. To w ogóle jest dla mnie szok, ale ty chyba jesteś zadowolona.

- Oczywiście.

- No to nie musisz płakać, powinnaś się uśmiechać.

Amalie przytaknęła.

- Wiem, ale nic się nie układa. Źle się czuję i sama nie wiem dlaczego.

- To szybko przejdzie, moja kochana.

- Mitti zwracał się do mnie zawsze „moja dziewczynka”, a Ole... - Umilkła, wołała nie wypowiadać tych słów. - Ole mówił „moje serce”.

Może Andreas mnie lubi mimo wszystko? Pojawiło się światełko nadziei. Może któregoś dnia ją pokocha?

Milczeli przez chwilę, a potem Amalie spytała:

- Dlaczego tu przyjechałeś? On bawił się lejcami.

- Zastanawiałem się po prostu, czy nie wyjdiesz na drogę się przejść. Do lasu pewnie byś się nie wybrała, bo teraz jest tam mnóstwo śniegu. Nie byłby to dobry pomysł, zwłaszcza że jesteś w ciąży.

Amalie pomyślała o Vigdis mieszkającej w szałasie. Zamierzała zapytać Andreama, czy nie pojechałby tam z nią i oto nadarzyła się okazja.

- Moglibyśmy wybrać się razem nad jezioro Røgden. Znam tam pewien szałas i okazuje się, że teraz mieszka tam przyjaciółka Kari. Miło byłoby ją odwiedzić - skłamała. Nie chciała wspominać, że to właśnie tam znaleźli *Czarną Księżę*.

- W twoim stanie nie powinnaś jeździć konno - zaproponował Andreas.

- Phi, to nie jest niebezpieczne. Koń nigdy jeszcze mnie nie zrzucił.

Andreas pogłaskał swojego wierzchowca po chrapach.

- W lesie naprawdę jest mnóstwo śniegu, trudno się będzie przez niego przedrzeć.

- Z pewnością znajdziemy jakąś ścieżkę. Las jest gęsty i drzewa zatrzymują śnieg.

- No, sam nie wiem... - Andreas kręcił głową.

- Pobiegnę po Czarną! - Zanim zdążył zaprotestować, ruszyła do stajni. Czarna jakby na nią czekała. Potrząsała głową i rżała cichutko.

- No chodź, chodź ze mną - szeptała Amalie, wyprowadzając klacz z przegrrody. - Przebiegniesz się trochę. Zdaje mi się, że tego potrzebujesz.

Przyszedł Andreas, prowadząc swojego konia.

- I co ty wyprawiasz? - spytał.

- Wybieram się na konną przejażdżkę - odparła zdecydowanie.

Nie przejmowała się jego surowymi spojrzeniami.

- Hm, to, jak widzę, postanowione.

- Tak.

Andreas szedł za nią.

- Nagle przypomniała mi się historia, którą opowiadała mama. Czy ty się wybierasz do tego szalasu, w którym straszy?

Amalie przytaknęła. Nie musi więcej kłamać, Andreas wie, co to za miejsce. Powinna się domyślać.

- Ja tam z tobą nie pojadę - oznajmił pośpiesznie, wyraźnie przestraszony.

Amalie zarzuciła siodło na grzbiet Czarnej i związała popręgi.

- W takim razie jadę sama.

On położył rękę na jej ramieniu i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie możesz tego robić, Amalie. Myśl rozsądnie, spodziewasz się dziecka.

- Wezmę ze sobą parobka. On i tak mnie nieustannie pilnuje, przy nim czuję się bezpieczna.

Andreas w zamyśleniu drapał się po głowie.

- No trudno, pojadę z tobą - rzekł w końcu. - Za nic nie puściłbym cię samej do lasu.

Amalie uśmiechnęła się zadowolona, że dał za wygraną. Dosiadła konia i ściągnęła lejce.

- W takim razie ruszajmy.

Andreas skinął głową.

- Będziemy się trzymać drogi nieco w bok od Røgden.

Zauważyła, że on ma przytroczoną do siodła strzelbę i odetchnęła z ulgą. Prowadziła Czarną za koniem Andreasa. Kiedy dotarli do skraju lasu, on się zatrzymał.

- Uważam, że postępujemy głupio, jadąc tam, Amalie.

- Będzie dobrze, zobaczysz - odparła, ale bez wielkiej pewności. - W lesie też śnieg zalega wielkimi zaspami. Mam nadzieję, że w głębi są jakieś przejezdne ścieżki.

Andreas nie był co do tego przekonany.

- Nie sędzę, że przedostaniemy się bez trudu, Amalie.

- Ale spróbujmy - odparła, zrównując się z nim.

Nagle Czarna zaczęła protestować i trzeba ją było uspokajać.

- Jesteś szalona - stwierdził Andreas ze śmiechem.

- Nie, nie jestem. Nie czujesz, jak tu przyjemnie?

- Przyjemnie?

- Tak - potwierdziła bez wahania.

Las był coraz gęstszy, teren nierówny, pokryty kamieniami. Andreas miał rację - konna jazda w takich warunkach jest trudna. Ale natura wokół była taka piękna, Amalie wchłaniała zapach żywicy i czystego świeżego śniegu.

Żal, który jeszcze niedawno ją dręczył, gdzieś się ulotnił. Tutaj czuła się w domu.

Nieoczekiwanie Czarna stanęła dęba. Nie chciała ruszać dalej, potrząsała łbem, próbowała wierzgać. Żadne słowa Amalie nie pomagały.

- Co jej jest? - spytał Andreas.

- Nie mam pojęcia, po prostu nie chce iść dalej. Jakby coś zwietrzyła.

Andreas podjechał bliżej i rozejrzał się wokół.

- Niczego nie widzę, nic nie słyszę.

- Ani ja. To dziwne. Czarna zwykle się tak nie zachowuje.

Andreas ujął strzelbę.

- Musimy być przygotowani na wypadek, gdyby pojawił się jakiś drapieżnik. Konie takie rzeczy wyczuwają zawczasu.

Amalie popatrzyła jednak na jego wierzchowca, który stał spokojnie, nie okazując najmniejszego lęku. Czarna natomiast położyła uszy po sobie i raz po raz wydawała z siebie ci-chutkie rzenie.



- Coś tu jednak jest - stwierdziła Amalie po chwili. Poczowała, że serce bije jej głośno. Coś wyczuwała, ale co?

- Wciąż nic nie widzę - stwierdził Andreas zirytowany. - Powinnaś zmusić swojego konia do posłuszeństwa. Nie możemy stać tu do wieczora.

Amalie cmokała na Czarną, ale klacz stała nieporuszona.

Andreas zaklął.

Amalie o mało się nie roześmiała, ale śmiech uwiązł jej w gardle. Co to się tu zbliża? Między drzewami zobaczyła unoszącą się nad ziemią zjawę w pelerynie.

Nie była w stanie spokojnie usiedzieć w siodle. Przerazona, obserwowała, jak coraz bardziej zbliża się ku nim zjawa.

Zdała sobie sprawę, że jadą w kierunku bagien, gdzie znaleziono Majnę. Z przerażenia wytrzeszczyła oczy - jadą śladami Jensa! I znajdują się w pobliżu szałas.

Otoczała ich atmosfera zła i magii. Amalie nie spuszczała oczu ze zjawy, ale drgnęła, gdy Andreas jeszcze raz zaklął.

- Ruszaj, Amalie! Nie możemy tu spędzić reszty dnia.

- Ale tam w lesie coś jest - wykrztusiła.

Mężczyzna popatrzył na nią zdumiony.

- Dlaczego mówisz szeptem? Ja niczego nie widzę.

- Nie widzisz tamtego cienia? - spytała, wskazując między gęsto rosnące drzewa.

- Nie, nic a nic.

- Ale ten cień się zbliża! - krzyknęła Amalie.

Włos jeżył jej się na głowie.

Czarna cofała się, rżąc cicho.

- Musimy zawrócić - zawołała Amalie, wbijając pięty w boki klaczy.

Tym razem Czarna posłuchała natychmiast.

Słyszała za sobą wołanie:

- Co ty wyprawiasz, Amalie? Chcesz mnie śmiertelnie wystraszyć?

- Zjawa w kapturze nie przepadła! - odkrzyknęła mu.

Powróciły wspomnienia o ojcu, myślała, że znalazła się znowu w pułapce. *Czarna Księga* należała do zakapturzonego, mężczyzny, który był mordercą. I to nie jest sprawa przeszłości. Boże, dlaczego ona wtedy dotknęła tej książki? Czego trzeba, żeby przełamać klątwę?

- Amalie!

Słyszała za sobą Andreasa, ale nie była w stanie się zatrzymać. Drzewa zastępowały jej drogę, kierowała więc Czarną tak, żeby je wymijać. Musi się stąd wydostać!

Popędzała konia, wiatr rozwiewał włosy, które przesłaniały jej twarz. Była półprzytomna ze strachu. Wkrótce straci resztę sił. Gałęzie drapały ją po twarzy, ale tym się nie przejmowała.

- Amalie!

Las stawał się coraz gęstszy, ścieżka się urwała, wielkie śnieżne zasy przypominały wysoką ścianę. Nad chrapami Czarnej unosiła się para, klacz też była zmęczona. Amalie potrząsnęła głową i nagle jakby ocknęła się z zamroczenia. Ściągnęła wodze.

Co ona wyprawia? Czy chce pozbawić życia siebie i dziecko?

Podjechał do niej Andreas, zaczerwieniony, z płonącymi oczyma. Z całej siły wyrwał jej wodze z rąk.

- Czyś ty zwariowała? - wrzasnął, trzymając lejce i próbując uspokoić konie. - Mogłaś spaść. A ja niczego nie widziałem. Musiałaś sobie coś wyobrazić, Amalie.

Wyczuwała strach w jego głosie i wybuchnęła szlochem. Przed chwilą zachowywała się jak odmieniona, coś zmuszało ją do tej szalonej podróży. Nie wiedziała, co robi. Zło ma nad nią władzę, była tego pewna. Bo przecież ostatnie, czego by w życiu chciała, to zabić dziecko Mitiego.

## Rozdział 12

- Otaczało nas zło, Andreas. Czułam to całym ciałem. Jakby ktoś źle mi życzył.

Andreas patrzył na nią z powątpiewaniem.

- Trudno mi w to uwierzyć. Ja niczego nie zauważyłem.

- Ale ja miewam wizje, czuję też więcej niż inni ludzie.

Andreas zeskoczył z konia.

- Tak, mama opowiadała mi o twoich zdolnościach, ale mimo wszystko nie mogę zrozumieć, dlaczego...

Amalie wiedziała, do czego on zmierza.

- Pewnej nocy, dawno temu Kalle, Tron i ja nocowaliśmy w tym szałasie, w którym teraz mieszka Vigdis z Erikiem Bordi. Znaleźliśmy tam książkę mówiącą o diabłach i magicznych zaklęciach. Ona należała do człowieka w kapturze, czyli do tego, który wymordował swoją rodzinę, co dało początek legendzie o zakapturzonym. Nie znalazł po śmierci spokoju i nieustan-

nie krąży po okolicy. Ale najgorsze, że jest taki strasznie zły. Jakbym słyszała jego śmiech, czuję, że on wszystkim życzy jak najgorzej. - Widziała, że Andreas nadal nie pozbył się wątpliwości. - Pojechałam z Tannel do jej matki i razem wrzuciłyśmy część *Czarnej Księgi* do głębi. Widzę jednak, że to się na nic nie zdało.

Amalie nerwowo przeczesła włosy ręką.

- Ja ci wierzę, Amalie. A skoro tak, to wracamy do domu. Vigdis i pan Bordi muszą radzić sobie sami. Są dorośli, zresztą nie ma pewności, że oni coś zauważyli. Może po prostu nie mają pojęcia, co się tu czai.

Amalie spoglądała w stronę lasu. Wiedziała, że szałas znajduje się niedaleko. Najwyraźniej zakapturzony chciał ją stąd przepędzić.

Ale dlaczego?

Andreas dosiadł konia, ona zawróciła klacz.

- Spróbuję dostać się tutaj kiedy indziej. Czuję, że powinnam ostrzec Vigdis i lensmana. Naprawdę muszę to zrobić. Nie rozumiesz?

- To nie twoja sprawa, Amalie. Powinnaś natomiast ostrzec lensmana Finkela.

- Pan Finkel złożył urząd. I to właśnie pan Bordi przejmie jego obowiązki. Tymczasem nie mamy we wsi żadnego lensmana.

- Ano tak, zapomniałem.

Amalie prowadziła Czarną na otwartą równinę, Andreas podążał tuż obok.

Przez jakiś czas milczeli. Wszędzie zalegał śnieg. Konie zapadały się po brzuchy.

- Wkrótce znajdziemy się w domu - rzekła Amalie w jakiś czas potem. Mogła już spokojniej oddychać, bo w lesie było to bardzo trudne.

- Tam jest droga - Andreas wskazał na prawo. - Wybiorę się z tobą do szałasu innego dnia, ale musimy poczekać, aż w lesie będzie mniej śniegu. Trudno się tam przedrzeć, najwyraźniej pogoda zaskoczyła pana Bordiego i Vigdis.

- Tak, ale mam nadzieję, że w tej dramatycznej sytuacji jakoś dają sobie radę.

- Też mam taką nadzieję, ale teraz muszę się z tobą pożegnać. Zobaczymy się niedługo.

Amalie skierowała Czarną ku drodze, na wzniesieniu przed sobą miała Tangen.

- Żegnaj, Andreas - powiedziała.

On pochylił się i położył rękę na jej ramieniu.

- Nie myśl już o tym, co się stało.

Odjechał galopem. Amalie znowu poczuła się strasznie samotna. Nie umiała wyobrazić sobie dnia, w którym on wyjedzie na stałe.

Vigdis gwałtownie usiadła na posłaniu, słysząc znowu ten upiorny śmiech. Docierał do niej od dłuższego czasu, ale sądziła, że to koszmarny sen.

Teraz przerażenie zjeżyło jej włosy na głowie. Spojrzała na Erika, który spał obok niej spokojny. Chrapał i nic nie słyszał.

Rozejrzała się i odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Z kuchni dochodziły hałasy, położyła się i przytuliła do męża.

On przeciągnął się i ziewnął.

- Nie możesz leżeć tak blisko mnie, Vigdis, bo spadnę - powiedział, ale mimo to przyciągnął ją do siebie. - Znowu coś słyszałaś? - spytał współczująco.

- Tak, tutaj ktoś jest. Zwariuję od tego upiornego śmiechu. - Spojrzała w stronę kuchni. - Teraz jest tam, nie słyszysz?

Erik usiadł i westchnął.

- Nic a nic. Może to jakaś mysz?

- Coś ty, mała mysz nie robiłaby takiego hałasu. Erik odsunął kołdrę i wstał.

- Zobaczę, co się tam dzieje. - Na palcach poszedł do kuchni. Przez chwilę panowała cisza, a potem Erik wrócił bardzo blady.

- Kiedy patrzyłem na półkę, talerze znowu zaczęły się poruszać. W życiu nie widziałem czegoś podobnego. Masz rację, w tym miejscu dzieje się coś okropnego. Musimy wracać do wsi, zanim dojdzie do nieszczęścia.

Nareszcie Erik jej uwierzył. Przez cały czas próbował łagodzić jej obawy. Ona natomiast powtarzała, że powinni wyjechać. Ale zerwała się śnieżyca i drogi znowu zasypało.

- Ruszajmy natychmiast, Erik!

- Masz rację - potwierdził, włożył spodnie i wełniany sweter. - Tu nigdy nie będzie wystarczająco ciepło, żebyśmy nie wiem ile drewna spalali - rzekł, trzęsąc się z zimna.

Vigdis wstała z łóżka. W izbie było tak zimno, że nad ustami obojga unosiła się zmarznięta para. Podeszła do paleniska i dołożyła kilka polan.

Ogień się rozpalil, ale ciepła nie odczuwali. Vigdis nie miała wątpliwości, że to sprawka Złego i zaczęła się pośpiesznie ubierać, Erik pożyczył jej swój sweter, włożyła też wełniane pończochy i płaszcz.

- No to ruszamy - zdecydował Erik z powagą.

Vigdis wyszła za nim na dwór, ale stanęła jak wryta, kiedy wiatr szarpnął z całej siły jej włosy. Poczwała lodowaty chłód.

- Jak zdołamy dotrzeć do wsi? - spytała.

- Musimy próbować. I tak wszystko jest lepsze od beczynnego siedzenia tutaj.

- W takim razie próbujmy - westchnęła, ruszając za mężem.

Po kilku metrach Erik się zatrzymał.

- To beznadziejne, Vigdis. Piechotą daleko nie zajdziemy, zresztą nie możemy zostawić tu koni, bo padną z głodu.

Vigdis nie chciała go słuchać. Musi być jakieś wyjście.

- Dadzą sobie radę, w stodole mają pod dostatkiem siana.

- Nie, to niemożliwe.

- W takim razie zabierzmy je ze sobą. Erik potrząsnął głową.

- Nie, za dużo śniegu.

- No to co zrobimy? - spytała z rozpaczą.

- Wracamy do szałas. Zachowałem się jak idiota, sądząc, że nam się uda.

- Nie! Ja nie chcę tam wracać! - Ogarnęła ją panika, zaczęła szlochać. Dygotała jak w febrze, z zimna i ze strachu.

Erik obejmował ją czule i mówił:

- No, ale co zrobić? Nie chciałbym zamarznąć na śmierć. W szałasie jest wprawdzie zimno, ale i tak lepiej niż na zewnątrz. Nie chcę narażać nas na pewną śmierć i przedzierać się teraz przez las.

Ona patrzyła na niego przez łzy.

- Nie możemy tu zostać, Erik. To zło w środku... Nie odważę się tam wrócić.

- Jakoś to zniesiemy - powiedział Erik. - Dopóki jesteśmy razem, musi być dobrze. Ja się już nie boję. Przeciwstawię się każdemu złu. Tak, moja kochana. Chodź. - Objął ją i poprowadził z powrotem do szałas.

Vigdis poczuła, że znaleźli się w pułapce.

Wyglądała przez okno i ucieszyła się, że nie wyruszyli w drogę przez las. Wichura wciąż szalała, wirujące masy śniegu przesłaniały niebo, panowało lodowate zimno.

Erik wychodził do koni, dał im siana i napoił. Ona znalazła jakieś koce, żeby okryć zwierzęta.

Kiedy wrócił, stanął przy żonie.

- Sama widzisz, Vigdis. Gdybyśmy w nocy wyszli, byłoby po nas.

- Masz rację - bąknęła. Odwróciła się do niego z uśmiechem. - Połóżmy się teraz. W łóżku możemy się nawzajem ogrzewać.

Przytuliła się pod kołdrą do męża i rzeczywiście zrobiło jej się cieplej. On głaskał ją po plecach i bawił się jej włosami.

Nagle zapragnęła, żeby ją wziął. Wolno uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Całowali się długo, pożądanie narastało w obojgu. Tuliła się do niego.

- Moja ukochana - szepnął ochryple Erik i znowu zaczął ją całować.

Nagle doszedł ją rozziewający krzyki przerażona odsunęła się od męża.

- Słyszałeś to? - wykrztusiła. Rozglądała się wokół, ale nic nie widziała.

Erik uniósł się na łokciu.

- Nie. Co znowu?

- Krzyczała jakaś kobieta. Słyszałam wyraźnie.

- Chodź, przytul się do mnie, Vigdis. Nie przejmuj się tymi hałasami. Mnie teraz interesuje coś zupełnie innego.

Vigdis nie mogła pozbyć się przerażenia. Straciła ochotę na miłość.

- Nie możemy - szepnęła, ale umilkła, słysząc brzęk kubków w kuchni.

Erik odwrócił głowę.

- Znowu coś się dzieje - mruknął.

Zauważyła, że on też jest przestraszony.

- Nie chcę tu już być - jęczała.

- Wiem o tym, kochanie, ale co mamy zrobić? Słyszysz ten wicher? Nie możemy wyjść na dwór.

- Przecież wiem - odparła.

Musiała zamknąć oczy. Tylko wtedy czuła się bezpieczna.

„Ladacznica, ladacznica!” Zerwała się gwałtownie.

- Rany boskie, ktoś szepcze mi do ucha, Erik! On pokręcił głową.

- Bardzo cię proszę, Vigdis, zachowaj spokój, bo jak nie, to stracisz rozum. Przytul się do mnie. Będę cię chronił.

Vigdis posłuchała. Trzęsła się wciąż okropnie, chyba nigdy w życiu jeszcze się tak nie bała. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

Erik znowu pogłaskał ją po włosach.

- Co się teraz dzieje, kochana? - spytał cicho.

- Odczuwam straszny smutek i nie wiem dlaczego - odparła z płaczem.

- Spójrz na mnie, Vigdis.

Ponieważ natychmiast nie otworzyła oczu, zaczął nią potrząsać.

- Vigdis! Obudź się!

Szarpał nią z całej siły, aż uniosła powieki.

- Słucham.

- Co się z tobą dzieje? Wyglądałaś tak, jakbyś była w jakimś innym miejscu.

- Ja naprawdę nie wiem - odparła, ocierając oczy. Erik wpatrywał się w nią z uporem.

- A teraz już lepiej?

- Myślę, że tak - powiedziała.

Erik wypuścił ją z objęć.

- Niech diabli porwą to, co tu straszy! - Wstał z łóżka i przeciągnął się. - Pójdę zobaczyć, co się potłukło.

Vigdis próbowała go zatrzymać.

- Nie odchodź, Erik!

- Uspokój się. Przecież nigdzie nie idę.

Vigdis położyła głowę na poduszce i wpatrywała się w sufit. Smutek, który niedawno ją przygniatał, zniknął. Zamiast tego odczuwała ulgę. Co się z nią stało?

Erik wrócił z potłuczonym kubkiem w ręce.

- Teraz został nam już tylko jeden. Mam dość tych wygłupów. Jeśli ktoś tu jest, to niech się, do cholery, pokaże.

Widziała lęk w jego oczach, ten sam lęk, który jej też nie opuszczał. Przesłoniła ręką oczy i westchnęła. Kiedy będą mogli wyruszyć do wsi? Tkwienie tu to prawdziwa udręka, poza tym brakowało jej snu. Każdej nocy budzą ich odgłosy tłuczonych naczyń.

Położyła się na boku i spoglądała na Erika. Stał pośrodku izby, wpatrzony w coś przed sobą.

- Co się z tobą dzieje? - krzyknęła.

On nie odpowiedział, ale podszedł do łóżka i wyciągnął ją z pościeli.

- Natychmiast musimy stąd uciekać.

- Ale mój kochany, czyż sam nie powiedziałeś dopiero co, że nie ma jak?



Vigdis spojrziała w róg pokoju i przerażona przywarła do ściany. W kącie stała postać w pelerynie. Zjawa pozbawiona twarzy!

## Rozdział 13

Edna leżała na koi z małym zawiniątkiem w objęciach. Nie mogła napatrzeć się na dziecko, wciąż głaskała główkę pokrytą rudymi kosmykami.

Jakież to piękne maleństwo, myślała z uśmiechem. Przepelniała ją miłość macierzyńska.

Wczoraj zdecydowała, że zajmie się dzieckiem. Nie miała pojęcia, jak się sprawy ułożą, ale matka nie chciała nawet na nie spojrzeć, odmawiała też karmienia.

Hermann przygotowywał dla małej mieszankę z mleka i wody, Edna miała nadzieję, że jest to wystarczająco pożywne, by dziecko rozwijało się jak należy.

Przyglądała się długim rzęsom i malutkim różowym usteczkom.

Edna uśmiechnęła się i pocałowała dziewczynkę w czółko. Cały czas miała wrażenie, że los zwrócił jej dziecko, które musiała oddać. Wciąż zastanawiała się, co się dzieje z jej córeczką. Wielokrotnie pytała o to Olava, ale on nie odpowiadał. Zresztą nic dziwnego, to on przecież był ojcem i on postarał się, by mała zniknęła.

Pamiętała tamten dzień, kiedy ją zgwałcił, jakby to było wczoraj. Przychodził do niej wielokrotnie. W tym czasie Erik zajęty był w Kongsvinger i tylko czasami zaglądał do Kristianii.

Olav rzucił się na nią, twierdząc, że jest jego żoną. Ona zaś nie miała odwagi powiedzieć o niczym Erikowi, zresztą nie powiedziała też nic, kiedy okazało się, że jest w ciąży. Dobrze wiedziała, kto jest ojcem, nie była przecież z Erikiem od dwóch miesięcy.

Tego dnia, kiedy Olav opowiedział Erikowi, że dziecko, którego spodziewa się Edna, jest jego, Erik się zmienił. Znienawidził ją. Próbowwała mu tłumaczyć, co zrobił jego ojciec, ale on nie uwierzył. Którejś nocy Olav znowu do niej przyszedł, chciał więcej. Próbowwała się bronić, ale on ją pokonał. Od początku wiedziała, że Olav jest chory umysłowo, ale Erik w to nie wierzył.

To wtedy zamknął ją w piwnicy.

Edna westchnęła i ułożyła się wygodniej na posłaniu. Na szczęście pogoda się uspokoiła i wkrótce przybiją do wyspy o nazwie St. Thomas. Kapitan musi zdobyć więcej prowiantu, zanim wyruszą dalej do Nowego Jorku.

Miała wrażenie, że znajduje się na tym statku od wielu miesięcy, choć przecież podróż trwała nie więcej niż pięć tygodni.

Kapitan zapewnił ją, że w drodze powrotnej do Norwegii będzie mogła zająć tę samą kajutę. Jedyne, co sprawiało jej ból, to rozstanie z Hermannem, kiedy nadejdzie pora. Była bardzo zajęta tym miłym kucharzem.

Ale to konieczne. Ona musi wrócić do Norwegii. Jedyne co dawało jej siłę, to myśl o tym, że wykrzyczy Erikowi i Vigdis, co jej zrobili. Wtedy Erik do niej wróci i wszystko będzie jak dawniej.

Usiadła przed lustrem i, zanim wyszła, poprawiła włosy. Dziecko z pewnością jeszcze trochę pośpi, a ona musi zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na pokładzie panował chaos. Na mostku zauważyła kapitana. Sprawiał wrażenie wzburzonego, ludzie biegali tam i z powrotem przygnębieni.

I wtedy zobaczyła, o co chodzi. Ciało pod śmiertelnym całunem. Stał nad nim pastor z *Biblią* w ręce.

- Kto to umarł? - spytała pastora.

- Kobieta chora na ospę odeszła dziś w nocy. Znaleźliśmy ją dopiero rano.

- Jakie to smutne - westchnęła Edna. - A gdzie są jej dzieci?

Pastor spuścił wzrok.

- Odbywają kwarantannę. Przepytowałem trochę o tę kobietę i okazuje się, że chłopcy mieli tylko ją. Mówiła o tym współpasażerom. To naprawdę bardzo smutne. Dzieci z pewnością zostaną oddane do przytułku.

- Straszne. I nikogo nie mieli? Kapitan potwierdził słowa duchownego.

- Są sami i nie wiem, co z nimi zrobić. Ludzie boją się zarazić. Spójrz, wszyscy zachowują się, jakby na pokładzie panowała zaraza.

Edna ukucnęła przy zwłokach i odsunęła całun. Pastor jęknął.

- Nie patrz na nią. To nie jest przyjemny widok.

- Już przedtem widywałam martwych ludzi - odparła.

Dobrze pamiętała śmierć matki i siostry, to ona przygotowywała je do grobu. Teraz patrzyła na zmarłą. Wyglądało, że spokojnie śpi. Boże, co się teraz stanie z jej dziećmi? Są same na świecie.

Z powrotem okryła martwe ciało całunem i wstała.

- Kiedy zostanie pochowana?

- Czekam na kapitana.

W tej chwili przyszedł Hermann i stanął obok.

- Gdzie podziałaś dziecko? - spytał, marszcząc brwi.

Ednę ogarnęły wyrzuty sumienia, że odeszła od małej, ale ona z pewnością nadal śpi.

- Śpi w mojej kajucie.

- Chyba rozumiesz, że takiego małego dziecka nie można zostawiać samego?

- Potrzebowałam powietrza - tłumaczyła się.

- To ja do niej pójde. - Odwrócił się i zniknął, a Edna poczuła radość, że ten mężczyzna troszczy się o małą.

Przyszedł kapitan i pastor otworzył *Biblię*, a potem zwrócił się do podróżnych:

- Chciałbym, żebyście się pomodlili za tę nieszczęsną kobietę.

Edna złożyła ręce i odmawiała w duchu *Ojciec nasz*. Przez cały czas jednak myśli krążyły wokół osieroconych chłopców. Powinna do nich pójść.

Pastor skończył modlitwę, a kapitan dał znać dwóm chłopcom okrętowym, by podeszli do zwłok.

Usłyszała też cichy dźwięk harmonii, a po chwili ujrzała Hermanna z instrumentem w rękach i z poważną miną schodzącego na środkowy pokład.

Chłopcy okrętowi unieśli mary i podeszli do relingu, a potem przełożyli zwłoki poza poręcz i spuścili w głębinę.

Edna zadrżała, słysząc uderzenie ciała o wodę. Plusk, i kobieta zniknęła na zawsze.

Stłumiła szloch i poszła na środkowy pokład, gdzie spali synowie zmarłej.

Podeszła do najmłodszego, tego, który chorował. Przypuszczała, że może mieć koło siedmiu lat. Usiadła na posłaniu. Dziecko spało głęboko. Ostrożnie dotknęła jego czoła.

Zdumiona, stwierdziła, że nie ma gorączki, a czerwone wypryski zbladły. Ogarnęła ją ulga. Chłopiec przeżył kryzys i chyba wkrótce będzie mógł wyjść na powietrze. Pewnie jest głodny, pomyślała, idąc do swojej kajuty.

## *Dwa dni później*

Hermann siedział na krześle z dzieckiem w ramionach.

- Cicho bądź, ona właśnie zasnęła.

- Dobrze i to - powiedziała Edna, siadając obok. - Może powinniśmy jak najszybciej ją ochrzcić? - spytała.

Hermann się zgadzał.

- Dobrze, ale jak damy jej na imię? - Uśmiechnął się do Edny, a jej serce zabiło mocniej. Miała wrażenie, że tonie w jego spojrzeniu.

- Nie mam pojęcia - wykrztusiła.

Dziecko poruszyło się i Hermann zaczął je kołysać.

- Może Ingrid? Moja matka tak miała na imię.

- Bardzo pięknie - rzekła Edna pośpiesznie. - Pójdę poszukać pastora.

Hermann ruszył za nią. Pastor oparty o reling, rozmawiał z kapitanem.

- Mógłbyś ochrzcić to dziecko? - spytali. Pastor zdumiony, przyglądał się Ednie.

- To się z pewnością da zrobić. Ty jesteś matką? Edna zaprzeczyła.

- Nie, ale jestem za nią odpowiedzialna.

Hermann stanął obok i kiwał głową.

- Tak, my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Edna uśmiechnęła się do niego. Z przyjemnością słuchała jego słów, rozpierało ją szczęście.

Kapitan wycofał się, pastor natomiast polecił chłopcu okrętowemu przynieść naczynie z wodą święconą, kropidło i otwartą *Biblię*. Położył rękę na główce dziecka.

- Jezus powiedział: „dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi...”. - Podniósł wzrok znad *Biblii* i spytał: - Jak dziecko ma mieć na imię?

- Ingrid - poinformował Hermann.

- Czy chcecie, żeby Ingrid została ochrzczona, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i była wychowywana w duchu i wierze chrześcijańskiej? - zwrócił się do obojga.

- Chcemy - odparli Edna i Hermann równocześnie.

Chłopiec okrętowy przyniósł święconą wodę i pastor wylał odrobinę na główkę dziecka. Przeżegnał się i powiedział:

- Ja ciebie chrzczę, Ingrid, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Edna nie spuszczała wzroku z Hermanna, który uśmiechał się do dziecka. Jest przy nim szczęśliwa, jak zdoła się z nim rozstać?

Znowu pojawił się kapitan uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Życzę, żeby to dziecko dało wam szczęście.

- Dziękuję - powiedziała Edna, dygając, a potem odwróciła się i poszła.

Hermann za nią z Ingrid w objęciach.

- Słyszałem, że masz zamiar wrócić tym samym statkiem do domu. Dlaczego chcesz wracać?

- Muszę. Jest wiele spraw, które powinnam załatwić.

Hermann pochylił się ku niej.

- Ale nie możesz mnie tak po prostu zostawić - powiedział ochryple. - Ja cię Kocham. - Słowa zamarły, a on ją pocałował.

Była zaskoczona, ale bardzo zadowolona. Z przyjemnością poddawała się jego pieszczotom.

Czuła drżenie w ciele.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała po chwili. Hermann się uśmiechnął.

- Ty czujesz to samo co ja. Jeśli powiesz coś innego, skłamię.

- Tak, ja też jestem w tobie zakochana, ale to niczego nie zmienia. Mam w domu niezamknięte sprawy.

On pokręcił głową.

- Dziecko też zostawisz? Naprawdę tego chcesz?

O tym nie pomyślała. Rzuciła na Ingrid pośpieszne spojrzenie i jej serce przepęłniło się miłością.

Przecież zabrać jej ze sobą nie może. A jeśli nawet Hermann potrafi zajmować się dzieckiem, to przecież sam sobie nie poradzi. Jaki los czekałby dziecko, gdyby Edna je opuściła.

Nie, nie może odjechać. I jeszcze ci chłopcy na środkowym pokładzie, osieroceni, jaki los ich czeka? Ich też nie może zostawić. Im też musi pomóc, stworzyć im bezpieczny dom.

Popatrzyła na Hermanna.

- Zostanę z tobą - powiedziała cicho.

On uśmiechnął się szeroko, pocałował ją jeszcze raz, zanim odszedł.

- Możemy stworzyć gniazdo, Edna. Pragnę nowego życia, co ty na to? Weźmiemy ślub. - Patrzył na nią uradowany, ale ona żadnej radości nie odczuwała. Jest przecież mężatką i nie może za niego wyjść.

- O ślubie nie ma mowy, Hermann - bąknęła.

- A to dlaczego? - Mężczyzna posmutniał.

- Dlatego... Dlatego, że już jestem zamężna.

- Co? - Z rozpaczą patrzył jej w oczy.

- To bardzo długa historia. Chodź ze mną do kajuty, to ci ją opowiem.

Hermann głaskał główkę Ingrid i wzdychał.

- Fakt, że jesteś mężatką, nie ma znaczenia. Postaramy się o rozwód, poza tym i tak za wcześnie myśleć o małżeństwie. Najpierw musimy się lepiej poznać.

Odłożył dziecko, objął Ednę i zaczął całować. Potem poprowadził ją w stronę łóżka. Pozwoliła, by ją rozebrał, by pieścił jej piersi. Rozkoszowała się każdą sekundą. Tak dawno nie była blisko z mężczyzną, że poddawała mu się bez wstydu.

Wkrótce stanął przed nią nagi, a ona podziwiała jego muskularne ciało.

- Kocham cię - mówił Hermann między pocałunkami. Ona pieściła jego tors oszołomiona pożądaniem i tęsknotą.

Hermann jęknął i przyciągnął ją do siebie, położył na posłaniu, a potem po prostu w nią wszedł. Oddech mężczyzny przyspieszał, Edna poruszała się w tym samym rytmie co on i wkrótce doznała spełnienia. Wygięła ciało niczym łuk i przywarła do kochanka. Po chwili on krzyknął z rozkoszy, a potem opadł na nią wyczerpany.

- Kocham cię - powiedziała Edna drżącym głosem.

Hermann położył się przy niej.

- To było cudowne. Od dawna codziennie za tobą tęskniłem, ale ty mnie nie dostrzegałaś. Dopiero to dziecko nas połączyło. Ingrid jest błogosławieństwem - mówił ochryple.

- Polubiłam cię od pierwszej chwili - rzekła Edna, przeczesując ręką jego włosy. - Ale ty le myśli zaprzętało moją głowę.

Hermann wpatrywał się w sufit.

- Ja też już miałem żonę, ale umarła na zapalenie płuc. Bardzo ją kochałem. Minęło wiele czasu zanim znowu zacząłem interesować się kobietami. Ty jednak mnie oczarowałaś, masz dobre serce, Edna. Natychmiast to zauważyłem.

- Chciałabym zająć się też tymi dwoma osieroconymi chłopcami.

Hermann przytaknął.

- Ale to chyba nie jest takie proste. Musimy załatwić adopcję, a to może potrwać. Ale nie martw się, wszystko załatwimy, jak tylko przyjedziemy do Norwegii. Chłopcy nie mają przecież nikogo.

Edna musiała się uśmiechnąć. Hermann też lubi dzieci i bardzo chce im pomagać. Miała szczęście, że go spotkała.

- A gdzie będziemy mieszkać? - spytała po chwili, otrząsając się z rozmarzenia.

Hermann usiadł na posłaniu.

- Teraz o tym nie myśl. Minie wiele czasu, zanim znowu znajdziemy się w Norwegii. Tam zaś ja mam rodzinę, jestem dziedzicem dworu. Pewnego dnia dostanę wszystko, będziemy tam mieć dość miejsca. Teraz musiałem dwór wydzierżawić, bo potrzebowałem środków na podróż.

- Gdzie znajduje się twój dwór?

- W Fińskim Lesie. Jak tylko dotrzemy do Kristianii, odwiedzimy adwokata. Ty wystąpisz o rozwód, załatwimy sprawę chłopców.

Edna zastanawiała się nad jego słowami. Fiński Las znajduje się przecież niedaleko Kongsvinger. Niewątpliwie spotka tam Erika i Vigdis. W ciągu całej podróży myślała tylko o zemście. Pragnęła ukarać Vigdis za to, co jej zrobiła. Ale teraz nie wydawało jej się to już takie ważne. Zresztą, gdyby nie Vigdis, nigdy by nie spotkała Hermanna.

- W takim razie osiadziemy w Fińskim Lesie - rzekła w końcu. - A teraz chciałabym jeszcze, mój drogi - dodała kokieteryjnie.



## Rozdział 14

Amalie nadal była przerażona po spotkaniu z zakapturzonym. W nocy źle spała, przez cały czas widziała przed sobą jego cień. Myślała, że wszystko co złe ma już za sobą, ale teraz nie była tego taka pewna. Dojmujący ból, który odczuwała, kiedy ojciec umarł, znowu przygniatał ją do ziemi.

Czy klątwa nigdy nie zostanie przełamana? Wszystko to jest jakaś ponura tajemnica, a na dodatek nad ranem przyśnił jej się Jens Sørlie. Patrzył na nią i prosił o pomoc. Wciąż brzmiały jej w uszach jego słowa: „Pomóż mi, Amalie! Ty jedna możesz mnie uratować!”.

O co mu chodziło? W jaki sposób ona miałaby go uratować?

Czy to duch bagien wciągnął go w błoto, czy może Jens spotkał zakapturzonego, przeraził się i utopił? Wiele pytań przychodziło jej do głowy, kiedy rano wstała z łóżka. Wyjrzała przez okno i westchnęła ciężko. Śnieżyca nadal szalała.

Amalie spojrzała na śpiącą córkę. Na palcach podeszła do szafy, wyjęła ciepłą wełnianą suknię i ubrała się. Czas zaczynać codzienne obowiązki. Wczoraj wieczorem Julius powiedział, że będzie szlachtował świnie i owce.

Znowu się zamyśliła, głaskała brzuch i uśmiechała się. Nosi dziecko Mittiego, już je kocha. Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

W kuchni Maren dzieliła mięso zabitej świni, krew spływała na podłogę.

- Rany boskie, Maren, dlaczego nie robisz tego w pralni?

- Przepraszam, Amalie, Julius powiedział, że lepiej zrobić to w kuchni. Na dworze panuje lodowaty ziąb, w pralni nie paliliśmy od wielu dni. - Ale szybko z tym skończę, moja droga. Rozchmurz się.

- Wcale nie jestem smutna - odparła Amalie pośpiesznie.

- Mnie nie oszukasz - zaprotestowała Maren. - Widzę, że coś cię dręczy. A jak było wczoraj w lesie, kiedy pojechałaś tam z Andreasem? Nie było czasu porozmawiać po powrocie.

Amalie opowiedziała jej o zakapturzonym. Maren słuchała zatrwożona.

- Jezu, to naprawdę okropne.

- Tak, upiór wrócił.

Maren odłożyła nóż na kuchenny blat i wytarła ręce w fartuch.

- Kiedy ostatnio byłam we wsi, słyszałam, jak ktoś opowiadał, że Jens Sørlie podszedł zbyt blisko zakapturzonego. Tak się przeraził, że wpadł do bagna.

Amalie myślała to samo.

- Tak mogło być.

- Bo trudno uwierzyć, że ktoś żywy mógłby zrobić to samo, co robił twój ojciec. To było sprytne z jego strony, że ubierał się jak człowiek z legendy. Ale że ktoś inny też tak postępuje, to nie do pojęcia.

Amalie przytaknęła. Rozejrzała się po kuchni, przez moment miała wrażenie, że ojciec stoi przed nią i mówi: „Jesteś moją ukochaną córeczką”.

- Kiedy my się pozbędziemy tego zła - westchnęła. - Obie z Tannel próbowałyśmy przełamać klątwę, ale nam się nie udało.

Maren usiadła przy stole.

- Mam nadzieję, że w końcu w Svullrya zapanuje spokój, ale między niebem i ziemią dzieje się więcej, niż jesteśmy w stanie pojąć. Trzeba czekać.

- Ale tymczasem ludzie umierają - wtrąciła Amalie. - Nastają naprawdę złe czasy.

- To prawda, ponura prawda. Tylko że wszystkich ty nie uratujesz, pamiętaj o tym. No, na dzisiaj dosyć gadania. Muszę brać się do roboty.

Poszła do spizarni i przyniosła stamtąd świński łeb.

- Teraz zrobimy salceson i powiesimy go w spichlerzu.

- Tak, ani się obejrzysz, a będziemy mieć święta. - Amalie podeszła i wzięła nóż z rąk służącej. - Zajmij się salcesonem, a ja podzielę resztę mięsa.

W tym momencie do kuchni weszła Berte, a za nią Inga. Dziewczynka wyglądała na zasmuconą.

- Coś się stało, Inga? - spytała Amalie.

- Nie, nic. Tylko Berte nie pozwala mi wyjść na dwór, a w domu jest tak nudno.

- Tak, rozumiem cię, ale widzisz, że na dworze szaleje śnieżyca, małe dzieci nie powinny wychodzić z domu.

Nagle Inga się rozplakała.

- Ja nie chcę siedzieć w domu. Chcę wyjść i bawić się na dworze!

Amalie widziała w jej oczach upór.

- Ależ kochanie, musisz poczekać, aż pogoda się zmieni.

Inga zeskoczyła z ławy i zaczęła tupać w podłogę.

- Chcę wyjść. Nie będę słuchać ani ciebie, ani Berte! W tym momencie przyszedł Kalle.

- Dlaczego wrzeszczysz? - spytał surowym głosem.

- Bo nie pozwalają mi wyjść z domu, a ja chcę na dwór.

Kalle popatrzył na nią surowo.

- Jak się nie uspokoisz, to pójdziesz do swojego pokoju.

- Nie! - wrzasnęła dziewczynka.

Kalle wziął ją na ręce i wyniósł z kuchni. Obudziła się też Kajsa, Amalie ubrała ją i zniosła na dół. Przez chwilę obie z Maren pracowały w milczeniu. Amalie myślała o Vigdis i panu Bordim, którzy siedzą uwięzieni w szalasiu. Jak sobie radzą z szalejącym tam złem? Czy jeszcze kiedyś zobaczy ich żywych?

Patrzyła, jak Berte zaczyna karmić Kajsę, i ogarnęła ją dojmująca tęsknota za męskim ramieniem, które by ją objęło. Znowu pomyślała o Andreasie, nie była w stanie pojąć jego intencji. Okazywał jej troskliwość, a z drugiej strony wciąż ją od siebie odpychał. Całował ją, mówił, że jest w niej zakochany, później jednak powiedział, że wcale nie.

Czyż nie widziała miłości w jego wzroku? Czy naprawdę wmówiła sobie, że on ją lubi? Trudno jej było w to uwierzyć.

Przyszedł Julius, od progu patrzył z czułością na Maren, która pośpiesznie przygotowała mu kubek kawy.

Amalie przyglądała się im z zazdrością. Ona też tak by chciała. Maren i Julius się kochają, mają w oczach tyle czułości, kiedy na siebie nawzajem patrzą.

Jakie to niesprawiedliwe. Dlaczego Mitti musiał umrzeć i zostawił ją samą? Przecież mogłoby im być tak dobrze. Jeszcze wiele razy mogliby leżeć na trawie i patrzeć w gwiazdy, jak to robili wiele razy podczas letnich tańców.

Maren spoglądała na nią spod oka.

- Co się z tobą dzieje? - spytała.

- Tak strasznie mi smutno, że mało serce mi nie pęknie. Bardzo tęsknię za Mittim, choć wiem, że on nigdy nie wróci. Po prostu nie mam pojęcia, co robić. Ja... - Słowa zamarły jej na wargach.

Wszystko jest nie takie, nie takie, nie takie, myślała.

- Amalie?

Odwróciła się, w drzwiach stał Kalle.

- Dlaczego ty płaczesz? - spytał.

Otarła nos wierzchem dłoni.

- Bardzo tęsknię za Mittim - wybuchnęła szlochem.

Kalle podszedł bliżej.

- Jest aż tak źle?

Przytaknęła.

- Czasem mija wiele dni, a ja o nim nie myślę, nagle jednak żal dopada mnie znowu.

Kalle pogłaskał ją po włosach.

- No tak, to niedobrze. Ale rozumiem cię jak nikt inny. Ja też tęsknię za Marie. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał. Tylko widzisz, Amalie, życie musi toczyć się dalej. Ale niedawno mówiłaś, że jesteś w kimś zakochana. Kto to taki?

- To Andreas. - Spojrzała mu w oczy,

- Rany boskie, Andreas! Toż to przecież syn Jensa i Helene.

- To prawda.

- Słyszałem, że to porządny facet, ale przecież był chory psychicznie.

- Andreas nie jest chory. I tak naprawdę nigdy nie był. Stało się z nim coś innego.

Kalle kręcił głową.

- No tak, niewiele wiem o tej sprawie, ale dlaczego jesteś taka smutna, skoro znowu się zakochałaś? Chyba nie tylko żal po utracie Mittiego cię dręczy?

Amalie spuściła wzrok.

- Andreas mnie nie kocha. Nie jestem w stanie zrozumieć jego zachowania wobec mnie.

Kalle zagryzł wargi.

- No tak, ale nie wiem, jakiej rady mógłbym ci udzielić. W tych sprawach nie mam wielkiego doświadczenia. - Dlaczego się trochę nie przejdziesz, nie przewietrzysz? Może świeże powietrze dobrze ci zrobi? Zawierucha wyraźnie przycichła, widziałem, że słońce przedziera się przez chmury.

Amalie spojrzała w okno. Rzeczywiście mdły promyk słońca przebiegł przez firankę.

- W takim razie pójdę na spacer. Masz rację, z pewnością dobrze mi to zrobi.

- Idź, a ja wracam do Ingi. Pewnie się ucieszy, jak jej powiem, że może wyjść.

Amalie musiała się uśmiechnąć.

- Inga wyrasta na bardzo zdecydowaną osobę.

- Tak, to prawda. Zauważyłem, że jest coraz bardziej podobna do swojej matki. Z Marie też często nie można sobie było poradzić, ale na szczęście zły humor szybko jej przechodził.

- Pamiętam tamte czasy.

Kalle wyszedł, a Amalie podeszła do lustra. Oczy miała czerwone, włosy w nieładzie. Ogarnęła się i zeszła do kuchni.

- Uważam, że powinnaś się przejść - przywitała ją Maren. - Ja sama dokończę pracę. Jesteś strasznie blada. Wyjdź na powietrze.

- Chciałabym ci pomóc - protestowała Amalie, ale bez przekonania.

- Idź, humor ci się poprawi - powtarzała Maren. - Nie mogę na ciebie patrzeć.

- W takim razie idę.

## Rozdział 15

Amalie szła drogą, przyglądając się zasypanym śniegiem wzgórzom pod lasem.

Wdychała świeże powietrze i czuła, że humor już jej się poprawia. W oddali widziała robotników zmierzających do lasu, widziała też dwór Paula i postanowiła tam wstąpić.

Nie rozmawiała z nim od dawna, dziwne, ale ostatnio rzadko ją odwiedza.

Dwór Paula wyglądał dostojnie. Amalie podziwiała zasobne spichlerze i zabudowania gospodarcze. Dom mieszkalny był obszerny, posiadał wiele pokoi. Dziedziniec najwyraźniej odśnieżano codziennie.

Na ganku stał Paul i patrzył przed siebie z fajką w zębach. Na jej widok uśmiechnął się od ucha do ucha:

- Rany, kto to idzie do nas z wizytą?

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - uśmiechnęła się Amalie. - Wyszłam się przejść i pomyślałam, że od dawna nie wiem, co u ciebie.

- No tak, rzeczywiście minęło trochę czasu - bąknął. - Ale wiesz, jak to jest. - Święta u bram. Nadszedł czas uboju.

- Tak, w domu zawsze jest coś do zrobienia.

- Chyba jednak nie będziemy tutaj tak stać - wykrzyknął. - Wejdz, rozgrzej się trochę. Co byś powiedziała na odrobinę ponczu?

Amalie się uśmiechnęła.

- Wolalabym szklankę soku.

- Już się robi - zapewniał, wprowadzając ją do holu.

W domu było ciepło, zdjęła więc płaszcz.

Przeszli do salonu, usiedli na kanapie, służąca podała sok.

- Jak sobie radzisz z prowadzeniem dworu? - spytała Amalie.

- Dziękuję, jakoś idzie. Mam świetną służbę. Chociaż trzeba przyznać, że czasami jest mi smutno.

- Tak, ciemna część roku trwa bardzo długo, mnie też daje się to we znaki. Ale do wiosny daleko.

Paul podszedł do kredensu i nalał sobie alkoholu do kieliszka.

- Szkoda, że pan Finkel zrezygnował ze stanowiska, ale któryś z sąsiadów mówił mi, że ma przyjść nowy lensman. Nikt go wprawdzie jeszcze nie widział i ludzie zaczynają się niecierpliwić. Przychodził tu Slime-Per i bardzo narzekał. Znowu wybuchł mu aparat do pędzenia bimbru, a któreś nocy ktoś się zakradł do obejścia i ukradł to, co jeszcze zostało. Chciał złożyć doniesienie, ale pan Finkel odesłał go z kwitkiem. Zatrzasnął mu drzwi przed nosem, mówiąc, że nie pełni już służby.

Amalie wybuchnęła śmiechem.

- Uważam, że Slime-Per miał szczęście. Nie może donieść o kradzieży, bo to, co robi, jest niedozwolone. Paul uśmiechał się.

- Tak, ja też tak myślę, ale Slime-Per najwyraźniej uważa inaczej. Jest po prostu wściekły.

- To dziwny człowiek - przyznała Amalie.

Paul przytakiwał.

- Zastanawiam się tylko, kiedy nowy lensman się pojawi.

Amalie wypła sok i otarła usta.

- Nowy lensman już przyjechał, ale na razie wprowadził się do szałasów w lesie. Strasznie się boję, że on się już stamtąd nie wydostanie.

- Lensman przyjechał?

- Tak, jest ożeniony z Vigdis, przyjaciółką mojej siostry. Kupili ten dwór na hali, który był wystawiony na sprzedaż, ale na razie musieli zamieszkać w szałasie, bo tutaj nic jeszcze nie jest gotowe.

Paul zmarszczył brwi.

- Zdecydowali się na coś takiego? Jak mogli zamieszkać w szałasie?

Amalie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, może nie mieli gdzie.

- Wydaje mi się to bardzo dziwne. Musimy mieć lensmana we wsi, i to jak najszybciej.

Amalie przyznała mu rację, a potem opowiedziała o szalasiu i zakapturzonym mężczyźnie, którego tam kiedyś widziała, o panującym w okolicy złu.

Paul patrzył na nią wstrząśnięty.

- To niemożliwe, że ten morderca wciąż się włóczy. Trudno mi w to uwierzyć, Amalie. Chociaż we wsi od dawna o tym gadają, mnie się to wydaje niewiarygodne.

Amalie kręciła głową.

- Nie, legenda powstała w wyniku prawdziwego morderstwa. Ów zakapturzony przed wieloma laty wymordował własną rodzinę. Ja go widziałam, kiedy dokonywał przestępstwa; był przebrany w pelerynę. Tak jak mój ojciec - dodała cicho.

- I sądzisz, że teraz życie lensmana i Vigdis jest zagrożone?

- Tak, bardzo się tego obawiam. Może już jest za późno. - Pochyliła się ku niemu. - A kto, twoim zdaniem, odpowiada za śmierć Jensa?

- Moja droga, nie wiem.

- No właśnie, ja też nie wiem, ale zaczynam podejrzewać, że stoi za tym jakaś ponadnaturalna siła.

- Nie, Amalie, nie przesadzaj - wykrztusił Paul wstrząśnięty.

Amalie odchrząknęła. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- A nie wybrałbyś się ze mną do szalasiu, żeby zobaczyć, co tam u nowego lensmana i Vigdis?

Paul spoglądał na nią zaskoczony.

- Nie możesz tam chodzić, Amalie. To zbyt trudne dla kobiety.

Ona poczuła narastający upór.

- Nie zaznam spokoju, dopóki nie sprawdzę, co z nimi. Staralam się przetłumaczyć sobie, że trzeba czekać, aż będzie mniej śniegu, ale obawiam się, że coś może im się przytrafić.

Paul opróżnił kieliszek.

- No cóż, mogę z tobą pojechać, kiedy nadejdzie pora. Ale, jak powiedziałem, muszą z nami jechać dorośli mężczyźni, którzy...

- Słyszałam, co powiedziałaś - przerwała mu.

- No to postanowione. Pojadę z tobą, jak będzie mniej śniegu. - Odwrócił się i wyjrzał przez okno. - Na razie jednak nie wygląda to dobrze.



Amalie ogarnął niepokój. Zawsze tak jest, kiedy czuje, że coś idzie źle. Myślała o człowieku w pelerynie, który szedł za nią, kiedy ostatnio próbowała dotrzeć do szałasu. Czy chciałyby się znowu z nim spotkać?

Paul siedział zamyślony.

- Dlaczego chcesz zabrać mnie do szałasu? - spytał w końcu.

Amalie nie mogła powiedzieć mu prawdy, że wolałyby pójść tam z Andreasem, ale on się nią nie przejmuje.

- Bo poza tobą nie mam do kogo się zwrócić - odparła.

Paul przytaknął.

- Jeszcze trochę soku?

- Nie, dziękuję. Chyba muszę już wracać.

W jakiś czas potem szła wolno w stronę domu. Z ulgą myślała, że Paul zgodził się jej towarzyszyć. Nie miałyby odwagi sama przedzierać się do szałasu, była też zadowolona, że nie powiedziała mu o ciąży. To by go pewnie do niej zniechęciło.

Poza tym mogłyby natrafić na Sigmunda, choć uważała, że on teraz trzyma się z daleka od Svullrya. Tylko że z nim nigdy nie wiadomo.

Mocno ścisnęła w rękach strzelbę i nagle ze zdumieniem stwierdziła, że naprzeciwko niej jedzie Andreas.

- Wybrałeś się na przejażdżkę? - spytała, bo nie wiedziała, jak zacząć rozmowę.

- Cały dzień siedziałem w domu, a kiedy się trochę rozchmurzyło, postanowiłem zaczerpnąć świeżego powietrza. - Andreas wskazał jej strzelbę. - Gdzieś ty była?

- U Paula Abrahamsena. Ale dlaczego ty tu jeździsz? Myślałam, że już cię nie ma.

- Coś mi przeszkodziło, ale wybieram się wkrótce. A po co poszłaś do tego Abrahamse-  
na?

Stwierdziła, że Andreas nie jest z tego zadowolony, ale jej to nie obeszło.

- Chciałam zapytać, czy nie wybrałyby się ze mną do szałasu.

Andreas zeskoczył z konia.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał ze złością. - Powinnaś była spytać mnie.

Amalie kręciła głową.

- Nie sądziłam, że po tamtej wyprawie chciałbyś dotrzymać mi towarzystwa. Przecież miałeś wyjechać.

- Najpierw powinnaś była spytać mnie, Amalie. Czy ty nie myślisz?

Zrobiło jej się przykro. Dlaczego on się tak zachowuje? Znowu pomyślała, że Andreas jest trudnym w obejściu człowiekiem.

Nie chciała dłużej z nim rozmawiać. Samo patrzenie na niego sprawiało jej ból. Andreas to bardzo urodziwy mężczyzna. Jest w nim zakochana i cierpi, bo on tego uczucia nie odwzajemnia.

- Przepuść mnie - poprosiła, chcąc go wyminąć. On jednak chwycił ją za ramię.

- Jesteś na mnie zła? - spytał.

- Nie, dlaczego? Uważam jednak, że powinieneś wyjechać jak najszybciej.

Gwałtownie puścił jej ramię.

- Chcesz, żebym wyjechał?

- Tak - skłamała. Nie była w stanie dłużej go oglądać. Powiedział, że ją kocha, więc skoro zmienił zdanie, powinien zostawić ją w spokoju.

Pokręcił głową.

- Widzę, że jesteś zirytowana, Amalie. Nie rozumiem, dlaczego. Czy coś powiedziałem lub zrobiłem?

- Właśnie o to chodzi, Andreas. Trudno mi ciebie zrozumieć. Jednego dnia mnie lubisz, a drugiego od siebie odpychasz. Przestaje mi się to podobać. Jedź do Kristianii. Im szybciej tym lepiej.

Odeszła, nie oglądając się. Lepiej teraz na niego nie patrzeć, myślała dławiona płaczem. W oczach miała łzy, ale była pewna, że postąpiła słusznie.

## Rozdział 16

Paul wyglądał przez okno. Był zadowolony. Amalie odczuwała jego brak i przyszła z wizytą. Wkrótce będzie ją miał tylko dla siebie.

Cieszył się na tych kilka godzin, jakie spędzi razem z nią w drodze do szłasu. Może polubi go bardziej, kiedy się przekona, że on potrafi się nią zaopiekować.

Chociaż w ogóle pomysł wyjazdu do szłasu nie bardzo mu się podobał. Od dawna wiedział, że tam straszy, ale przed Amalie odgrywał głupiego.

Kocha tę kobietę, to wyjątkowa osoba. Chciałby zdobyć jej serce, mieszkać z nią jako z żoną i żeby urodziła mu mnóstwo dzieci. Wszystko zaplanował w najmniejszych szczegółach.

Widział, że Amalie podoba się jego dwór. Potrafił ją sobie wyobrazić w salonie, z robótką, uśmiechniętą.

Westchnął i wrócił do domu, usiadł w fotelu i zaczął nabijać fajkę. Próbował wszystkiego, by ją zdobyć, Amalie jednak widziała w nim tylko przyjaciela. Ale teraz bardzo zbliżył się do celu. Amalie za nim tęskni, przyszła go odwiedzić. Wiedział, co zrobić, by ją zdobyć.

Andreas, myślał, bębniąc palcami w oparcie fotela. Ten człowiek stanowi zagrożenie. Widział ich kiedyś razem w lesie, słyszał radosny śmiech Amalie i ogarnął go strach. Teraz jednak wie, że Andreas ma wyjechać. A pod jego nieobecność on będzie działał szybko.

Uśmiechał się sam do siebie. To cudowna, dobra myśl. Nie jest w stanie dłużej żyć samotnie. Każdej nocy śni o Amalie, myśli o niej całymi dniami.

Była niczym opętanie. Musi ją zdobyć!

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Andreas. Paul nie dał po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczony.

- Co ty tu robisz? - spytał, wskazując gościowi miejsce.

Andreas usiadł na kanapie.

- Spotkałem Amalie, która powiedziała mi, że obiecałeś towarzyszyć jej do szalasu. Przychodzę ci powiedzieć, że to nie jest dobry pomysł. Sam tam z nią pojedę.

Paul uniósł brwi.

- Ach, tak? Ale chyba nic z tego nie będzie, Andreas. Amalie chce, żebym to ja jej towarzyszył i już się zgodziłem. A ja słowa nie cofam.

Andreas łypnął na niego spod oka.

- Masz jakieś ukryte myśli, jeśli chodzi o tę wyprawę, widzę to po tobie. Ale nawet nie próbuj. Amalie należy do innego. Ja sam zamierzałem się jej oświadczyć, ale teraz nie mogę.

- To rzeczywiście zaskakujące. Ale dlaczego uważasz, że powinienem wierzyć w to, co mówisz? Od śmierci Mittiego Amalie nigdy nawet nie wspomniała o innym mężczyźnie.

Andreas zmarszczył brwi.

- Tylko poczekaj, niedługo się dowiesz. Odkąd wyszedłem z przytułku, miałem poważne problemy. Kiedy spotkałem Amalie, chciałem być tylko jej przyjacielem, ale szybko się w niej zakochałem. Wtedy okazało się, że muszę wyjechać. Przestań więc myśleć o Amalie. Ona nie jest dla nas.

- Co za głupstwa! - prychnął Paul. - Najwyraźniej mówisz o sobie, nie udawaj, że jakiś inny mężczyzna ma do niej prawa. Widziałem was niedawno razem w lesie. Gdyby był inny

mężczyzna, wiedziałbym o nim. - Paul pokręcił głową, chrząknął i odłożył fajkę. Postanowił skłamać: - Tak się składa, że ja już się Amalie oświadczyłem.

Andreas zerwał się na równe nogi.

- Co ty mówisz? Przecież to niemożliwe. Ona nie może za ciebie wyjść.

Paul uśmiechał się i mówił dalej wyzywająco:

- Czas był najwyższy, Amalie od dawna patrzyła na mnie łaskawym wzrokiem. Nigdy nie kochała Mittiego tak, jak kocha mnie. A ja... Nadszedł czas... - kłamał jak z nut.

- Nie wierzę ci. To kompletne szaleństwo. I co ci odpowiedziała? - Twarz Andreasa zrobiła się blada.

- Oczywiście powiedziała „tak”. Ślub odbędzie się najszybciej, jak to możliwe. Już daliśmy na zapowiedzi.

- Nic o tym nie słyszałem - prychnął Andreas. - Dziwne, że ludzie we wsi niczego nie zwęszyli. Poza tym ona naprawdę nie mogła się zgodzić.

Paul uśmiechnął się złośliwie.

- W tym tygodniu proboszcz ma przygotować papiery - przerwał mu.

Andreas przeczesał dłonią włosy. Paulowi nagle zrobiło się go żal.

- Amalie wyprowadzi się z Tangen i będzie mieszkać tutaj, rzecz jasna.

Andreas podszedł do drzwi.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął na odchodnym. Amalie nie mogła się zgodzić wyjść za ciebie. Ona jest w ciąży. Wiedziałaś o tym?

Paul miał wrażenie, że spadnie z fotela.

- W ciąży?

- Tak, spodziewa się dziecka Mittiego. Dziwne, że nic ci nie powiedziała, skoro macie się pobrać.

Paul poczuł, że serce bije mu coraz szybciej. Tego się nie spodziewał. Musi ochłonąć. Zdobył się na uśmiech.

- Pewnie czeka na odpowiednią chwilę. Nieszczęsna dziewczyna, bała się chyba, że ją odepchnę, jak dowiem się o dziecku. Ale z mojej strony nie ma się czego obawiać. Przyjmę dziecko jak własne.

- W takim razie życzę ci szczęścia, ale jednak Amalie nie dostaniesz. Jest inny mężczyzna, którego powinieneś się obawiać. Ja jutro wyjeżdżam do Kristianii. Wybacz, że ci przeszkodziłem.

Paul kiwał głową i uśmiechał się jeszcze szerzej, gdy drzwi za tamtym się zamknęły. Andreas uwierzył w jego kłamstwa. I co to za głupstwa o jakimś innym mężczyźnie? Andreas przegrał, musiał przyjąć to do wiadomości. Bo Paul w żadnego innego mężczyznę nie wierzy.

Teraz ma drogę otwartą. Nie przejmował się też ciążą Amalie. Za bardzo ją kocha. Chętnie uzna dziecko za własne. Zwłaszcza że od dawna podejrzewał, iż sam dzieci mieć nie może. Jego żona w Ameryce nigdy nie zaszła w ciążę. Teraz myślał, że to było błogosławieństwo.

Jutro wybierze się do Amalie, by podjąć walkę o zdobycie jej serca. Był pewien, że ona też z czasem go pokocha.

Amalie umyła kuchnię i przetrła podłogi. Bolały ją plecy i najchętniej by się położyła, ale nie miała na to czasu.

Maren i Berte sprzątały pokoje na górze. W całym domu pachniało zielonym mydłem.

Ze zdumieniem uniosła głowę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ostatnio nieczęsto przychodzą do niej goście.

Na zewnątrz stał uśmiechnięty Paul.

- Dzień dobry. Wstąpiłem, żeby zaprosić cię na konną przejażdżkę - oznajmił.

- Nie bardzo dzisiaj mogę - westchnęła Amalie. - Mam strasznie dużo roboty.

- Ale godzinkę mogłabyś mi poświęcić? - spytał.

- Nie, naprawdę nie mogę. Czekają na mnie obowiązki, nie powinnam ich zaniedbywać.

- Przecież nie musisz sama sprzątać. Nie masz służby?

- Dobrze wiesz, że mam, ale różne rzeczy wolę robić sama. Wejdz jednak i ogrzej się trochę.

Paul wszedł do holu i zdjął okrycie.

- Jak tu miło pachnie - rzekł, rozglądając się. A ja pewnie wyglądam jak leśny troll, pomyślała Amalie, żałując, że go zaprosiła.

Przeszli do salonu i usiedli na kanapie.

- Wypiłbym szklankę wody - poprosił Paul.

- Pogoda się trochę poprawiła - zauważyła Amalie. - Myślisz, że niedługo moglibyśmy się wybrać do szafasu?

- Tak, za parę dni możemy się szykować, jeśli ocieplenie się utrzyma.

- Nie mogę przestać myśleć, jak oni tam żyją - rzekła Amalie zamyślona.

- Chyba nieźle, ale cieszę się, mogąc być na twoje usługi.

- Dziękuję za pomoc, Paul. Bardzo sobie to cenię. On wypił wodę i wstał.

- W takim razie dzisiaj odbędę samotną przejażdżkę. Szkoda, że jesteś taka zajęta.

Amalie westchnęła. Kusilo ją, żeby wyrwać się z domu. Na dworze pocieplało i zrobiło się ładnie.

- Wiesz co, może jednak nie zaszkodzi, jak na trochę zostawię dom - powiedziała.

- Jak to dobrze, że zmieniłaś zdanie - ucieszył się Paul. - Będę na ciebie czekał na dziedzińcu.

Jechała za Paulem, patrzyła, jak gęsta czupryna powiewa na wietrze. Podobało jej się jego muskularne ciało.

Nagle udzielił jej się też dobry humor Paula.

- Będziemy się ścigać? - zawołała ze śmiechem. Ustawili konie obok siebie i już mieli ruszać, kiedy mężczyzna nieoczekiwanie ściągnął lejce.

- Nic z tego, Amalie. Nie możesz jeździć tak szybko. Jesteś przecież w ciąży.

- Skąd o tym wiesz? - Amalie się zaczerwieniła.

- Tak słyszałem.

- Od kogo?

Dziwiło ją to, bo przecież o swojej ciąży powiedziała tylko Andreasowi. Czyżby ci dwaj rozmawiali o niej?

- Andreas mi wspomniał, zanim wyjechał do Kristianii.

Amalie wytrzeszczała oczy. Musiała się przesłyszeć. Andreas chyba by nie wyjechał bez pożegnania.

- Już wyjechał? - spytała, z trudem przelękając ślinę i walcząc z rozczarowaniem.

Paul przytaknął.

Amalie o mało nie zaczęła krzyczeć. Andreas wyjechał, nie pożegnawszy się z nią. Wielka klucha rozrastała jej się w gardle.

Miała ochotę płakać, ale nie mogła. Paul patrzył na nią badawczo. Otarła łzę, która spływała po policzku, i odwróciła głowę.

- Nie chcę dalej jechać, Paul. Wracam do domu.

- Nie bierz sobie tego tak do serca, Amalie. Andreas cię nie kocha. Zaslugujesz na mężczyznę, który ofiaruje ci wszystko. Jesteś taką piękną kobietą.

Zacisnęła wargi. Nie mogła się otrząsnąć.

- Mam nadzieję, że w stolicy będzie szczęśliwy. I chyba nigdy tu nie wróci - dodała, tłumiąc szloch. Popatrzyła na Paula. - Mimo wszystko jedźmy dalej. Masz rację, powinnam prze-

stać o nim myśleć. Właściwie to już zapomniałam. Ale ty nie powiedziałaś, co sądzisz o mojej ciąży.

Paul położył rękę na jej dłoni.

- To wspaniała wiadomość.

- Dziękuję ci, mój drogi. Zawsze jesteś dla mnie taki miły.

- No wiesz, jeszcze by tego brakowało. Przecież jestem w tobie zakochany.

Amalie zamrugła niepewnie.

- Ale jedźmy już. Tylko nie będzie żadnych szaleństw - dodał ostrzegawczo.

- Będę bardzo ostrożna - obiecała Amalie.

Cmoknęła na Czarną, która natychmiast posłuchała. Teraz Amalie jechała przodem, kiedy mężczyzna nie mógł widzieć jej twarzy, pozwoliła sobie uronić łzę.

- Spójrz na to piękne zwierzę - powiedział Paul w chwilę później.

To jeleń próbował przedzierać się przez śnieżne zaspę. Patrzyła na niego, ale myślała o czym innym. Ujechali już spory kawałek. Z początku Amalie była zgnębiona i pozwalała łzom płynąć, ale teraz czuła w sobie tylko pustkę. Została zdradzona, choć przecież Andreas niczego jej nie obiecywał.

- Rzeczywiście zwierzę jest piękne - powiedziała, zsuwając się z siodła.

Paul też zeskoczył z konia. Chwilę później ujął ją pod rękę i poprowadził w górę zbocza. Potem nieoczekiwanie przystanął i zaczął się jej przyglądać.

- Amalie, kochana Amalie. Dlaczego przez cały czas jesteś taka smutna? Moim zdaniem wyglądasz o wiele piękniej, kiedy się śmiejesz. - Poglądził ją po głowie. - Kocham cię, Amalie.

- Przestań żartować - bąknęła.

- Ale ja mówię poważnie - mruknął Paul, tuląc twarz do jej policzka. - Chciałabyś wyjść za mnie? Co on powiedział? Wyjść za niego? Odepchnęła go.

- Nie, Paul. Nigdy za ciebie nie wyjdę!

On jednak przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Amalie była tak zaskoczona, że pozwoliła mu się całować. Rozczarowanie postępowaniem Andreasa ciągle bolało, nie była w stanie myśleć o życiu w samotności. Znowu będzie miała dziecko. Paul jest miły, dlatego nie miałyby się z nim związać. Była zmęczona nieustanną odpowiedzialnością za wszystko. Przecież mogłyby się zgodzić. Andreas jej nie chce, a z Paulem miałyby dobre życie. Świetnie się czuje w jego towarzystwie, nie nudzi się.

Cofnęła się o krok i przyjrzała mu się uważnie.



- Dobrze, Paul. Może powinniśmy się pobrać.

Wzrok mężczyzny przesłoniła mgiełka. Miał takie same ciemne oczy jak Mitti. Amalie zachwiała się lekko. Czy to słuszne wychodzić za kogoś, kogo się nie kocha? Wolałaby przecież Andreasa.

- Nie, to byłby błąd, Paul. Zaslugujesz na kobietę, która mogłaby dać ci wszystko. Z nas dwojga byłaby jednak marna para.

On odwrócił ją ku sobie.

- Będzie ci ze mną dobrze, Amalie. I któregoś dnia mnie pokochasz, bądź pewna.

- Nie wiem, Paul. Ja kocham Andreasa.

- Tylko że on cię nie chce. A poza tym wyjechał. Zapomnij o nim, Amalie. Chcesz zostać sama na resztę życia?

Spojrzała w jego poważne oczy.

- Nie, tego nie chcę - rzekła cicho. - Tylko jak mogłabym cię kochać? Lubię cię, ale to nie wystarczy.

- Mnie tak - wtrącił Paul pośpiesznie.

Amalie nie wiedziała, co zrobić. Jej dzieci potrzebują ojca, tak podpowiadał rozsądek. Czowała się samotna i nieszczęśliwa. Może udałoby im się z Paulem? Może on ma rację, że z czasem go pokocha?

Spojrzała na niego jeszcze raz i postanowiła:

- No dobrze, pobierzmy się.

Otarła łzy spływające po policzkach. Nigdy więcej nie będzie płakać z powodu mężczyzny. Teraz chce od życia bezpieczeństwa i spokoju.

## Rozdział 17

Amalie chodziła jak we mgle i nie wiedziała, co ze sobą począć. Wciąż nie miała pewności co do podjętej decyzji, zdawała sobie jednak sprawę, że być sama dłużej nie potrafi. Mitti nie wróci, Andreas wyjechał. Wciąż nie otrząsnęła się z rozczarowania, ale Paul ma rację. Nie ma sensu tęsknić za mężczyzną, który jej nie kocha.

Tak to jest, powtarzała sobie w duchu. Mimo to czuła się zdradzona - Andreas jej nie chce.

Teraz rozumiała przeżycia Paula i Bragego. Oni też musieli cierpieć, kiedy ich tak nieustannie od siebie odpychała.

Spojrzała na Kajsę, która ćwiczyła się w chodzeniu. Wstawała, upadała na podłogę i wstawała znowu.

Amalie uśmiechała się, coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że dzieci muszą mieć ojca. Poza tym nie była w stanie dźwigać całej odpowiedzialności za wszystko.

Paul to miły i uczciwy człowiek, do tego przystojny. Mimo to wciąż łapała się na tym, że wraca myślami do Andreasa.

Widziała coś w jego oczach, czy może sobie to tylko wyobrażała? Może powinna pojechać do Helene? Może Andreas jest jeszcze w domu? Paul mógł się przecież pomylić. Nie, powiedziała głośno sama do siebie. To się na nic nie zda. Andreas postanowił wyjechać, a ona nie będzie za nim biegać.

Wyjęła z koszyka robótkę, Kajsja potrzebuje wielu par wełnianych skarpetek. W chwilę później w progu stanął Tron. Podszedł i objął siostrę.

- Dzień dobry, braciszku - ucieszyła się.

- I co tam u ciebie, moja kochana?

- W porządku, Tron. A u was?

- U nas też. Właśnie spotkałem Andreasa, który wybiera się do Kristianii. Pomyślałem, że ci o tym powiem.

- Tak?

- On mówił coś, co mnie zaniepokoiło. Coś na temat twojej przyszłości, co cię czeka. Spytałem, co ma na myśli, ale nie chciał dokładniej tłumaczyć. To wszystko wydało mi się niezwykle tajemnicze. Jedyne, co powiedział, to że czeka cię też coś radosnego, co cię ucieszy i zdziwi.

- Pojęcia nie mam, co by to mogło być - Amalie zastanawiała się. - Znowu oczekuję dziecka.

Tron spojrział na nią zaskoczony.

- Dziecka?

- Tak, jestem brzemienna, Tron.

Zerwał się na równe nogi.

- Co ty mówisz? Kim jest ojciec?

Amalie ogarnęła irytacja.

- Usiądź, Tron. Noszę dziecko Mittiego rzecz jasna. Co ty sobie właściwie o mnie myślisz?

- Ale Mitti nie żyje - bąknął Tron, siadając.

- Tak, trochę czasu minęło, ale to naprawdę jego dziecko. Jestem w czwartym miesiącu.

- Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

Amalie spojrzała na córeczkę bawiącą się na podłodze.

- Bo jeszcze niedawno sama nie wiedziałam.

- To można czegoś takiego nie zauważyć? - spytał Tron, kręcąc głową.

- Tyle miałam innych spraw na głowie...

- No ale skoro tak, to to właściwie dobra wiadomość.

Amalie przytaknęła.

- Bardzo dobra.

Tron podszedł do Kajsy.

- A jak się ma dzisiaj nasza mała panienska? - spytał, podnosząc ją w górę.

Dziecko śmiało się i ciągnęło go za włosy.

- Tata, tata - szczebiotała dziewczynka.

- Jezu, ona mówi do mnie tata, czy mi się zdaje?

Amalie uśmiechnęła się.

- Tak, od jakiegoś czasu powtarza to słowo. Dużo z nią rozmawiam, opowiadałam jej o Olem. Widocznie akurat słowo „tata” sobie zapamiętała.

- A ja też jestem taki szczęśliwy, że mamy Mattiego. Jest bardzo podobny do Małego Trona. Tannel mówi, że dostaliśmy z powrotem pierwszego synka.

- Cieszę się razem z wami, Tron.

- Tak, żyje nam się teraz dobrze. Kocham Tannel i synka ponad wszystko. Chciałbym, żeby i tobie się ułożyło. Śmierć Mittiego była straszna, mogliście przecież żyć razem bardzo długo.

- Ale to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Bym mogła zachować Mittiego na zawsze. Już tamtego dnia, kiedy wzięłam do rąk *Czarną Księgę*, powinnam była wiedzieć, że wszystko pójdzie nie tak - rzekła w zamyśleniu.

Tron znowu usiadł obok siostry.

- Nie wolno ci tak myśleć, Amalie. Jakaś książka nie może być przyczyną czyjejś śmierci. Musisz to zrozumieć. I przestań wciąż się nad tym zastanawiać. Klątwa została przełamana.

- Nic podobnego - odparła Amalie cicho. - Znowu widziałam człowieka w pelerynie. Chciałam odwiedzić szałas, w którym zamieszkała Vigdis z nowym lensmanem, ale nie dotarłam do celu. On mi zagroził drogę.

- Naprawdę? No to rzeczywiście nie wiem, co zrobić, by się go pozbyć - mówił Tron. - Ty natomiast powinnaś przestać mieszać się w sprawy, które cię nie dotyczą. Trzymaj się z daleka od tego szałasu.

Amalie nie od razu odpowiedziała.

- Mam wrażenie, że Vigdis i lensman znaleźli się w niebezpieczeństwie - rzekła w końcu. - W szałasie czai się coś złego, ktoś powinien tam pojechać i zobaczyć, czy u nich wszystko w porządku.

- Teraz to już przesadziłaś, Amalie. Podróż tam jest zbyt niebezpieczna. Musisz być rozsądna, pomyśl o dziecku.

Amalie poczuła się słaba. Nie była w stanie klócić się z bratem.

- Drugi raz się tam nie wybieram - odparła.

- Myśl tylko o tym, że nosisz dziecko Mittiego. Swoją drogą to niewiarygodne.

- To prawda, Tron. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę.

W tej chwili przyszedł do nich Kalle.

- Jak to miło, że do nas przyjechałeś! - zawołał na widok Trona.

- No właśnie, chodź i siadaj. Co tam u ciebie?

- Wiesz, czasy są ciężkie, ale staram się nie martwić na zapas.

- Masz jakieś wiadomości od adwokata? Kalle potrząsnął głową.

- Nie, ale mam nadzieję, że niedługo się pojawi.

- A kiedy zamierzasz wrócić do Namna?

- Sam nie wiem, ale chyba niedługo.
- Chcesz wracać? - zdziwiła się Amalie. - A ja myślałam...
- Inga musi zostać u ciebie, Amalie. Mam nadzieję, że się zgodzisz.
- Oczywiście. Teraz zaniosę Kajkę do Berte. Dotrzymujcie sobie tu nawzajem towarzystwa, ja jestem bardzo zmęczona, chciałabym się położyć.
- Nie zostaniesz, dopóki nie wyjadę? - spytał Tron urażony. - Nieczęsto mamy okazję ze sobą porozmawiać.
- Trzeba przygotować Kajkę do snu. A ja jutro przyjadę do Furulii.
- Skoro tak, to dobrze. Dobranoc.

## Rozdział 18

Vigdis zapięła guziki płaszcza i usiadła na łóżku. Erik postanowił, że powinni spróbować przedrzeć się dzisiaj do wsi. Nie zniosą więcej niepokoju, ona nie jest w stanie wciąż przeżywać tego strachu. Widziała zjawę bez twarzy. Najpierw miała wrażenie, że zwariowała, ale przecież nie jest psychicznie chora.

Coś się wokół nich nieustannie czaiło. Erik się z nią zgadzał. Jakąś godzinę temu ostatni kubek roztrzaskał się o podłogę.

Najpierw Erik się przestraszył, ale potem nad sobą zapanował, wpadł w gniew i cisnął talerzykiem o ścianę.

- Trzymaj się z daleka ode mnie, ty diabelski pomioocie! - wrzasnął, ale wtedy zrobiło się jeszcze gorzej.

Na podłogę spadł garnek, i jakby tego było mało, poderwał się i płynął w powietrzu, w wielkim tempie pokonując odległość od ściany do ściany. Ostatecznie uderzył w okno. Bóg łąskaw, że go nie wybił.

- Jesteś gotowa, Vigdis? - spytał Erik, otwierając drzwi szeroko.

- Tak, już idę.

Wstała i wyszła. Na dworze panował lodowaty ziąb, ale przynajmniej zadymka ustała. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki.

Erik przyprowadził konie. Vigdis podążała za nim, przez cały czas z uczuciem, że ktoś jest za jej plecami.

- Wsiądź na konia, Vigdis. Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce. - Erik spojrzął na szalas i zadrzał.

Vigdis nie miała odwagi się odwrócić. Nie była w stanie dłużej patrzeć na ten ponury dom i wspięła się na siodło.

- No to jedziemy.

- Tutaj musimy zachowywać się spokojnie. Mam nadzieję, że znajdziemy ścieżkę niezbyt zasypaną śniegiem.

Ona liczyła na to samo i przeżegnała się. Nigdy nie była zbyt pobożna, ale akurat teraz odczuwała potrzebę kontaktu z siłą wyższą.

Prowadziła klacz tuż za koniem Erika. Bała się, że nigdy nie zdołają wyrwać się z tego zaklętego kręgu.

- Tam dalej widzę ścieżkę - powiedział, wskazując w prawo.

- No to tam jedźmy. - Vigdis spoglądała na wysokie sosny i stwierdziła, że właśnie tam śniegu jest niewiele.

Ujechali kawałek, kiedy zerwał się wiatr. Erik zatrzymał konia, Vigdis też ściągnęła wodze.

- Dlaczego przystanęłeś? - spytała zaniepokojona.

- Tam coś jest - odparł Erik cicho. - Ustaw konia obok mnie.

Posłuchała.

- Dlaczego zaczęło tak wiać? - spytała, ale strach dławił ją w gardle.

- To właśnie jest takie dziwne. Dopiero co było przecież całkiem cicho. - Mrużąc oczy, patrzył w stronę ścieżki. - Tam coś jest, Vigdis. Czy ty widzisz to samo, co ja? Coś, co mi przypomina pelerynę...

Ona też, mrużąc oczy, patrzyła w tamtą stronę, ale oślepiało ją słońce.

- Nie, nic nie widzę.

Erik przywarł piętami do końskiego brzucha i po chwili znowu jechali w stronę ścieżki.

- Byłem pewien, że coś się tam czai, ale nagle znowu zaległa cisza.

Vigdis zagryzała wargi. Dławiła ją groza.

- To dziwne - wykrztusiła drżącym głosem.

Erik uporczywie wpatrywał się w ścieżkę.

- Trzeba spróbować pojechać inną drogą. Nie mam zaufania do tego miejsca.

- Tak zrobimy - przytaknęła Vigdis.

Skierowali konie w lewo. I teraz znowu zerwał się wiatr, który przenikał do szpiku kości. Vigdis marzła.

- Nie podoba mi się to wszystko, Erik - powiedziała, szcękając zębami.

Erik odwrócił się w siodle.

- Mnie też nie. Ale musimy jechać dalej. Za nic nie wrócę do szałasu.

Vigdis się z nim zgadzała.

- Tylko że tutaj jest tak samo strasznie.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że gałęzie drzew kołyszą się tam i z powrotem. Śnieg opadał na ziemię. Wtedy zobaczyła coś straszego: jakaś postać stała na ścieżce i machała do niej. Przyjrzała się lepiej, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej przez gardło. Postać na ścieżce miała na sobie pelerynę.

- Erik, nie jedź dalej! - krzyczała, ściągając wodze. - Prrr! Zatrzymaj się, ty głupi koniu! - wrzeszczała.

Erik jednak jechał dalej.

- Erik, słyszysz, co mówię? - krzyknęła znowu. - Natychmiast się zatrzymaj!

On nie reagował. Nie ruszał się w siodle. Sprawiał wrażenie, że jej nie słyszy. Musiała więc jechać za nim.

- Erik! Erik!

On wciąż jechał jak przedtem. Nagle jednak jego koń przystanął i zaczął parskać. Obłok marznęcej pary unosił się nad chrapami. Klacz Vigdis tańczyła w miejscu, potrząsając głową.

Erik natomiast siedział jak zaczarowany. Vigdis dopadła do niego, nie powstrzymało jej to, że postać wciąż stoi na ścieżce i macha do nich. W każdym razie nie podchodziła bliżej.

Vigdis spojrzała na Erika i jęknęła. On siedział nieruchomo i wpatrywał się przed siebie, jakby nie rozumiał, gdzie jest. Nie zastanawiając się, kobieta chwyciła wodze jego konia i odwróciła głowę zwierzęcia, które ruszyło w przeciwnym kierunku.

Musiała odstawić Erika z powrotem do szałasów. Znajdował się teraz w zupełnie innym świecie. Chyba naprawdę został zaczarowany.

Odwróciła się, kiedy dotarł do niej upiorny śmiech. Zjawa na ścieżce rozplynęła się w powietrzu i zniknęła między drzewami.

- Ruszajcie wreszcie, głupie konie - krzyczała, popędzając je.

Erik siedział jak przedtem i oburącz trzymał się siodła.



Vigdis znowu ujęła cugle jego konia i wkrótce znaleźli się na ścieżce, którą tu przyjechali. Daleko przed nimi znajdował się szałas. Vigdis wybuchnęła szlochem. Nigdy stąd nie wyjdziemy, myślała.

Zostali uwięzieni. Boże drogi, jak to wszystko się skończy? Znowu spojrzała na Erika, który przymknął oczy, a po chwili je otworzył. Wydawało się, że wraca do siebie.

- Co ty, na miłość boską, wyprawiasz? - spytał przerażony.

- Straciłam z tobą kontakt, Erik. Strasznie się bałam.

- Zatrzymaj konie - rzekł pośpiesznie.

Vigdis posłuchała i ściągnęła wodze.

- Strasznie się bałam. Postać na ścieżce była zła.

W jakiś sposób wzięła cię we władanie. Erik kręcił głową.

- Coś rzeczywiście tam widziałem, ale nagle wszystkie moje myśli się ulotniły. I potem nic już nie pamiętam. To naprawdę dziwne.

- Uważam, że nie mamy innego wyjścia. Musimy wracać do szałasu.

Erik gwałtownie pokręcił głową.

- Nie!

- Musimy - powtarzała Vigdis zrozpaczona. - Postać w pelerynie nas ściga. To zły człowiek. Nigdy nie wyjdziemy stąd żywi. A poza tym jest tak strasznie zimno.

- Chyba zwariowałaś, Vigdis. Nie możemy tam wracać. Raczej zaryzykuję i poszukam innej drogi.

Spojrzała w jego przerażone oczy. Możliwe, że Erik ma rację, ale jeśli będą szukać innej drogi, mogą zablądzić. Nie chciała zamarznąć na śmierć.

- Mówię ci, że nie mamy wyjścia. W szałasie jest przynajmniej cieplej. A ja tak strasznie zmarzłam.

Erik rozejrzył się wokół.

- Możemy spróbować jechać wzdłuż jeziora Røgden.

Vigdis przytaknęła.

- No to tak zróbmy.

Erik zawrócił konie i wkrótce znaleźli się w drodze do Røgden. Wiedziała, że jezioro znajduje się niedaleko stąd, ale niepokój jej nie opuszczał. A jeśli postać w pelerynie znowu się pojawi? Wtedy byliby straceni.

- Dlaczego nie znaleźliśmy jeszcze jeziora? - spytała Vigdis w jakiś czas później.

- Tego nie wiem, ale byłem pewien, że gdzieś tutaj musi być.

- Widziałam jezioro, jak jechaliśmy przedtem. Dlaczego teraz go nie ma? - Była zrozpaczona i przemarznięta.

Krążyli tak już ponad godzinę i wciąż docierali do tego samego miejsca.

- Nie chcę tu już być - szlochała Vigdis.

- Pojedziemy śladami naszych koni z powrotem do ścieżki.

- No to jedźmy natychmiast, Erik. Tak strasznie się boję. Czuję się jak sople lodu.

- Ja też - rzekł Erik. Zamrugał, by lepiej widzieć. - Zdaje mi się, że przed chwilą tu byliśmy. Rany boskie, gdzie ten szałas?

Vigdis rozglądała się, nie rozpoznawała okolicy.

- Ale nie ustąpię, to jedno jest pewne. Żaden upiór nie będzie ze mną pogrywał. Mam tego dość, do cholery! dlaczego zgodziliśmy się na ten szałas? Powinniśmy byli zamieszkać w gospodzie, ale chłop zapewniał, że będzie nam tu wygodnie.

- Teraz rozpoznaję tamto drzewo - zawołała Vigdis.

- Jesteś pewna?

Przytaknęła. Szałas musi być trochę dalej.

Marzyła o tym, by się położyć na łóżku. Była zmęczona i wyczerpana. Gdyby pojawił się upiór, to będą się zastanawiać, co z nim zrobić. Wszystko lepsze od zamarznięcia na śmierć.

Poprowadziła konia przez zasy. Klacz zapadała się po brzuch, ale Vigdis popędzała ją bezlitośnie.

Raz po raz odwracała się i wołała:

- Pośpiesz się, Erik. Dasz radę.

Jakoś zdołali się przedrzeć przez śnieg.

- No to jedziemy dalej - zawołała Vigdis, wprowadzając konia na ścieżkę. Wiatr ustał, panowała kompletna cisza. Nagle poczuła gwałtowne uderzenie w plecy tak, że o mało nie spadła z konia. Ale nie odwróciła się, wiedziała, że to upiór.

Szałasu nie było widać.

- Co ty wyprawiasz? Pojechałaś w złą stronę! - zawołał nagle Erik. - Próbowałem cię zatrzymać, ale mnie nie słyszałaś. Trzeba jechać tam.

Wskazał gęsty las po prawej stronie.

- Nie, to nie ta droga. Mylisz się, Erik.

- To ty się mylisz!

Ustała, uznała, że nie ma co się kłócić.

Erik przeklinał i popędzał konia. Ona bezradnie podążała za nim. Miała nadzieję, że mąż widzi w oddali dach szałas.

I rzeczywiście, po chwili dach się ukazał. Erik miał rację.

- Chodź, Vigdis - powtarzał. - Konie są wyczerpane, a ja nie czuję palców u nóg.

Ona też była przemarznięta do szpiku kości. Nagle Erik przystanął.

- Słyszysz huk wodospadu?

Vigdis przytaknęła.

- Tak, słyszę, i to od jakiegoś czasu.

- To dziwne. Łoskot niesie się niczym echo.

- Ale teraz jedźmy dalej, Eriku. Wodospad znajduje się daleko stąd.

- Tak uważasz? - spytał zdumiony.

- Taką mam nadzieję - odparła stanowczo.

Przeszył ją dreszcz, gdy zobaczyła rozpadający się budynek. Wiedziała, co ich tam czeka, ale nie mieli innego wyjścia. Podstawowy błąd polega na tym, że tu w ogóle przyjechali. Ciekawe, czego upiór w pelerynie od nich chce.

## Rozdział 19

Vigdis otworzyła drzwi. Ustały z cichym skrzypnięciem. Wkroczyła do środka i rozejrzała się po izbie. Wszystko było tak, jak zostawili parę godzin temu. W palenisku tliło się jeszcze trochę żaru.

Podeszła bliżej, dołożyła drewno do ognia i przysunęła krzesło do kamiennej ściany. Z zimna szczękała zębami. Erik wprowadził konie pod dach i też przyszedł.

- Spędziliśmy w lesie wiele godzin, jestem potwornie zmęczona - oznajmiła Vigdis, kładąc się na łóżku. - Chodź, spróbujmy rozgrzać się nawzajem.

Kiedy mąż położył się przy niej, wsunęła nos w jego gruby sweter. Wtulała się weń rozpaczliwie.

Leżeli tak przez dłuższy czas, aż w kuchni znowu zaczęło hałasować.

- Słyszysz? - spytała szeptem.

- Tak, ale nie będę mu przeszkadzał. Nic to nie da - odparł sennie.

Vigdis leżała bez ruchu i wsłuchiwała się w hałasy. Nie miała odwagi spojrzeć przed siebie. Przy Eriku czuła się bezpiecznie, zamknęła też oczy.

- Czy on nigdy nie skończy? - wymamrotał Erik z irytacją. Odsunął lekko Vigdis i spojrzął przed siebie. - Pójdę i zobaczę. Talerzy do potłuczenia zostało już niewiele.

- Nie, nie chodź - próbowała go zatrzymać.

Ale Erik nie słuchał. Zsunął się z łóżka i zniknął w kuchni. Vigdis usiadła i patrzyła w ślad za nim. Długo nic się nie działo.

Miała wrażenie, że serce przestaje jej bić. Nagle mąż wybiegł przerażony, chwycił jakieś okrycie i wyskoczył na dwór.

- Erik! - wrzasnęła Vigdis, także zrywając się z łóżka. Dopadła do drzwi, ale nie zdołała ich otworzyć.

Edna zaparzyła kawę i próbowała otrząsnąć się ze snu. Hermann siedział przy małej. Wzięła więc dwie filiżanki i poszła do niego.

Od dwóch dni znajdowali się na wyspie St. Thomas. Edna na ląd nie schodziła, ale Hermann zdążył zrobić zakupy.

Kiedy przyszła do niego z kawą, powitał ją uśmiechem.

- Śpi jak aniołek - poinformował zadowolony.

- Och, jak to dobrze.

Ingrid od paru dni bolał brzusek, na szczęście już jej przeszło.

- Cieszysz się, że wracamy do domu? - spytał Hermann, popijając kawę.

- O, tak.

- Ja też. Po śmierci tej kobiety straciłem ochotę na przeżywanie przygód. To było straszne. I ci biedni chłopcy, którzy zostali sami.

- Najmłodszy wkrótce wyzdrowieje i wtedy będzie mógł przyjść tutaj - stwierdziła Edna.

- Tak, ale mimo wszystko trzeba zachować ostrożność. Brat nie odstępował go ani na krok, a może on też jest zarażony.

- Miejmy nadzieję, że nie.

- Pójdę zobaczyć, co u nich - rzekła Edna i wyszła na pokład. Przyjemnie było odetchnąć świeżym powietrzem.

Na środkowym pokładzie znalazła młodszego z braci, śpiącego w koi. Usiadła obok i dotknęła dłonią jego czoła.

Mały zdumiony, otworzył oczy.

- Kim ty jesteś? - spytał.

Edna była zaskoczona. Myślała, że ją rozpozna, widocznie jednak był chory bardziej, niż sądziła.

- Mam na imię Edna i opiekuję się tobą i twoim bratem.

Wytrzeszczył oczy.

- Gdzie mama?

Edna ujęła go za rękę. Jak zdoła wytłumaczyć temu dziecku, że matki nie ma.

Starszy brat, jej zdaniem jedenasto- lub dwunastoletni, podszedł i pochylił się nad bratem.

- Mama nie żyje, Kristian. Choroba ją zabrała.

Kristian przyglądał mu się, nic nie rozumiejąc.

- Mama umarła? To przecież nieprawda.

- Prawda. Nie żyje. Kristian pokręcił głową.

- Nieprawda. Kłamiesz.

Brat próbował go uspokajać, ale bez rezultatu. Chłopiec rzucał się na posłaniu, krzyczał, trząsał się cały i szlochał.

Edna przyglądała mu się z bólem serca. Biedne dzieci, myślała, wycofując się. Trzeba pozwolić, żeby mały wypłakał się w spokoju. Ona przyjdzie tu później i opowie dzieciom, że oboje z Hermannem zaopiekują się nimi w Norwegii, że stworzą im bezpieczny dom.

Starszy też patrzył na nią niechętnie.

- Uważam, że powinnaś sobie pójść. Nic tu po tobie, chcemy być sami.

Edna była zaskoczona.

- Ależ mój drogi, ja chcę wam pomóc. Chłopiec kręcił głową.

- Nie, nie pomożesz nam. Nie uratowałaś mamy. Przychodziłaś tu, dawałaś jej chleb, ale od śmierci jej nie uratowałaś.

Edna miała wrażenie, że zemdleje. Pomyśleć, że chłopiec tak się do niej odzywa, choć zrobiła wszystko, żeby im pomóc. Rozumiała jednak, że jest pogrążony w głębokiej żałobie i musi odreagować. Dlatego nie protestowała, postanowiła jednak, że przyjdzie później.

- Próbowałam jej pomóc, ale choroba była silniejsza. Nikt nie mógł już dla niej nic zrobić. Oboje z Hermannem chcemy zająć się wami w Norwegii. Co o tym myślisz? - popatrzyła mu głęboko w oczy i odetchnęła z ulgą, kiedy się uśmiechnął.

- Moglibyśmy mieć dom?

- Tak.

- Ale dlaczego? Przecież nas wcale nie znacie? - pytał sceptycznie.

- Bo bardzo was lubię i w ogóle lubię dzieci.

Kristian przewrócił się na bok i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy. Ocierał ręką łzy.

- Dom? - spytał. - My nigdy domu nie mieliśmy. Żyliśmy w nędzy, bo mama oszczędzała wszystkie pieniądze na tę podróż.

Edna przytaknęła.

- Jak tylko wrócimy do Norwegii, załatwimy sprawę w urzędzie. A potem pojedziemy do jednego miejsca, które nazywa się Fiński Las. Hermann, który jest kucharzem na tym statku, ma tam piękny dwór.

- I zwierzęta też? - spytał Kristian, jeszcze bardziej wytrzeszczając oczy.

- Tak, krowy, owce, a nawet konie.

Kristian popatrzył na brata.

- Chciałbyś tam mieszkać, Edvin?

Tamten przytaknął.

- Oczywiście. Przecież i tak nie mamy się gdzie podziąć. Ja nie chciałem jechać do Ameryki, ale mama była jak opętana. - Spuścił wzrok. - To prawdziwa tragedia. Kiedy tata umarł, mama bardzo się zmieniła, a potem, jak plony się nie udały, postanowiła, że wyjedziemy. Zaczęła oszczędzać każdego miedziaka, jakiego udało jej się zdobyć. Mama była... - Umilkł, a Edna nie chciała wypytywać. Pomyślała jednak, że matka chyba nie tylko pracą rąk zarabiała na życie.

- Ile wy właściwie macie lat? - zapytała, zdziwiona poważnym tonem Edvina.

- Ja mam trzynaście - odparł chłopiec z dumą.

Kristian usiadł na pościeli.

- A ja siedem.

Uśmiechnęła się do obu.

- Piękny wiek. Ale teraz muszę iść do Ingrid, trzeba ją przewinąć.

- Kto to jest Ingrid? - spytał Kristian.

- To moja córeczka.

Kristian skinął głową i znowu się położył. Edna wyszła. Trzeba dać im trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją.

Na pokładzie podeszła do relingu i patrzyła na morze. Było teraz spokojne. Nagle ogarnął ją smutek. Jakie to dziwne, tylko morze i morze, jak okiem sięgnąć.

Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła wrócić do domu.

## Rozdział 20

Amalie siedziała na kanapie z małym Mattim na rękach. Wciąż nie mogła się napatrzeć na bratanka, który spał spokojnie, najwyraźniej bardzo zadowolony.

Tannel uśmiechała się radośnie.

- To naprawdę cudowne dziecko, nie sprawia żadnych kłopotów. Taka jestem szczęśliwa. Tron cały czas jest w domu i pilnuje, by niczego nam nie brakowało.

- Ja też się cieszę w waszym imieniu - rzekła Amalie.

Tannel wzięła kanapkę z półmiska, który przyniosła służąca.

- To wielkie szczęście mieć małe dziecko, nie uważasz?

Amalie westchnęła.

- Tak, to prawda. Czy Tron ci powiedział, że ja spodziewam się dziecka Mittiego?

Tannel podskoczyła.

- Co? Nie słyszałam! Naprawdę jesteś brzemienna? Spojrzała dziwnie w róg pokoju.

- No to pewnie jesteś zadowolony, Mitti - powiedziała z uśmiechem, jakby on siedział tu razem z nimi.

Amalie była zaskoczona. Sądziła, że brat przekazał Tannel nowinę.

- To niewiarygodne - mówiła dalej tamta z rozmarzeniem. - Urodzisz dziecko Mittiego. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo mnie to cieszy. Będzie malutki chłopczyk lub dziewczynka z naszego rodu.

- Ja też się cieszę, Tannel. Przynajmniej dziecko mi po nim zostanie.

Amalie uśmiechnęła się do małego Mattiego, kiedy zaczął się wiercić.

- Zdaje mi się, że twój malec jest głodny.

Tannel wstała i wzięła synka na ręce.

- Chodź do mamy - mruknęła, całując go w główkę.

- Zaczekam tutaj - powiedziała Amalie, kiedy Tannel wychodziła z pokoju.

Po chwili przybiegła do niej Helga.

- Amalie, moja kochana, co tam u ciebie? - Usiadła obok.



- Wszystko w porządku, Helgo. I znowu będę miała dziecko. Helga oniemiała.
- Co powiedziałaś? - wykrztusiła po chwili.
- Będę miała dziecko. Dziecko Mittiego.
- Ale on od dawna nie żyje... - Helga była najwyraźniej wytrącona z równowagi.
- Miałam tyle zmartwień, że jakoś przeoczyłam to, co się dzieje z moim ciałem.
- Jesteś szczęśliwa, Amalie? - spytała stara niania.

Amalie spuściła wzrok. Nieoczekiwanie miała ochotę się rozplakać. Helga jest dla niej jak matka, od dzieciństwa się o nią troszczyła.

- Tak, to cudowne, Helgo. Helga pogłaskała ją po głowie.

- Powinnaś upinać włosy, Amalie. Bo wyglądasz niczym leśny troll. Poważnej kobiecie to nie uchodzi.

Amalie spojrzała w mądre oczy Helgi i nie była w stanie dłużej powstrzymać łez.

- Taka jestem zmęczona, Helgo. Cieszę się, ale zarazem jest mi strasznie smutno. I tęsknię za Mittim - szlochała.

- No dobrze, już dobrze, moja kochana. - Helga objęła ją. - Wkrótce będzie lepiej, zobaczysz. Rozumiem, co czujesz, ale zobaczysz, Mitti wróci do ciebie przez to dziecko.

Tego Amalie było już za wiele. Rozszlochała się na dobre. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni tak poddała się żałobie.

Ale płakała też dlatego, że Andreas jej nie chce.

Długo tak siedziały obie, objęte. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Paul.

- Tutaj jesteś, Amalie. Pojechałem do Tangen i powiedziano mi, żebym tu cię szukał. - Przyjrzał jej się uważnie. - Ty płaczesz?

Helga wstała i wyszła. Amalie ocierała łzy.

- Skąd ten nagły smutek? - spytał Paul. - Myślałem, że jesteś szczęśliwa teraz, kiedy mamy się pobrać.

Widziała, że Paul jest zmartwiony, ale nie miała siły się tym przejmować. Żal ją przytłaczał, a on jest ostatnim człowiekiem, który powinien się w to mieszać.

- Wolałabym, żebyś sobie poszedł, Paul. Nie powinniśmy widywać się już przed dniem ślubu.

- Nie mówisz tego poważnie, Amalie?

Ona kiwała głową.

- Owszem, tak właśnie uważam. Jest mi smutno, potrzebuję czasu dla siebie. Tyle się ostatnio wydarzyło.

Mężczyzna przyciągnął ją do siebie.

- Nawet mnie o to nie proś, Amalie. Kocham cię i jeśli potrzebujesz pomocy, to właśnie u mnie powinnaś jej szukać. Nie rozumiesz tego?

Przytuliła czoło do jego piersi.

- Rozumiem, że życzysz mi dobrze, Paul. Ale pamiętaj, że ja ciebie nie kocham, choć bardzo lubię.

- Moja droga, to mnie wcale nie martwi. Pewnego dnia przyjdzie uczucie. Potrzebujesz tylko czasu.

- Może i masz rację - bąknęła przygnębiona. Paul odsunął ją od siebie.

- Przyjechałem tu, bo przecież chciałaś, żebyśmy wybrali się do szafasu. Myślę, że teraz moglibyśmy to zrobić.

Amalie otarła łzy.

- Świetnie, wstąpię tylko do domu. - Od razu poczuła się lepiej. Poza wszystkim dobrze będzie przejechać się po lesie. Miała nadzieję, że dotrą do celu. - Powinnam się cieplej ubrać.

- Oczywiście.

Na korytarzu spotkali Trona.

- Jezu, to Paul nas odwiedził?

- Tak, przyjechałem zabrać Amalie.

Ona przyglądała się młodemu wilkowi stojącemu za Tronem. Zwierzę łypało ponuro na Paula, a potem warknęło.

- Leżeć - zawołał Tron i wilk posłuchał.

- Ty naprawdę hodujesz wilka? - dziwił się Paul.

- Nawet nie wiesz, jaki to wspaniały towarzysz - odparł Tron z dumą.

- Ale nie możesz trzymać wilka w niewoli.

- To nie stanowi problemu, Paul. Jest świetnym stróżem i robi wszystko, co mu każę.

- Stróżem? - prychnął Paul. - Uważaj, Tron. Któregoś dnia może cię zaatakować.

Amalie pociągnęła za sobą Paula do stajni.

- I tak go nie przekonasz - powiedziała. - Mój brat lubi to stworzenie. Przyniósł je do domu, kiedy osierocony szczeniak był jeszcze maleńki.

Amalie przebrała się błyskawicznie, przekazała wiadomość dla Juliusa i Maren, że wyjeżdża, ale nie powiedziała dokąd.

Paul czekał na nią w siodle, czarne włosy połyskiwały w blasku słońca i Amalie znowu zdała sobie sprawę z tego, jaki to przystojny mężczyzna. Poza tym bardzo dla niej dobry.

- Co tak długo? - niecierpliwił się, kiedy nareszcie dosiadła konia.

- Musiałam powiadomić domowników, że mnie nie będzie.

Ruszyli, Czarna obok konia Paula. Pogoda była piękna, drzewa ugięły się pod śniegiem, gdzieś na gałęzi ćwierkał ptak.

Wkrótce zobaczyli jezioro Røgden.

- Może powinniśmy pojechać tą drogą? Chyba łatwiej dostać się do szalasu tędy. Poza tym nad jeziorem jest mniej śniegu.

Paul słuchał zdumiony.

- To przecież objazd.

- Wiem, ale tak będzie lepiej.

Ruszyli z kopyta, nagle mężczyzna się zatrzymał.

- Ziemia tutaj jest oblodzona. Bądź ostrożna, Amalie.

Wkrótce znaleźli się nad brzegiem i znowu mogli jechać jedno obok drugiego. Amalie spoglądała na pokryte śniegiem wzgórza po drugiej stronie jeziora.

Tutaj zwykle urządza się letnie tańce. Znowu Mitti stanął jej przed oczami jak żywy.

Potem jechali w milczeniu blisko godzinę, aż w końcu Paul przystanął.

- Zróbmy sobie krótki odpoczynek - powiedział, chwytając jej lejce. - Poczekaj, pomogę ci zsiąść.

Amalie wsunęła rękę w jego dłoń i zsiadła.

Pozwolili koniom zejść nad krawędź wody. Amalie usiadła na pieńku ściętego drzewa. Paul stał przed nią.

- Jakaś ty piękna - powiedział.

- Dziękuję - bąknęła, czując, że się rumieni.

On ukucnął przed nią i położył rękę na jej udzie.

- Będzie nam razem dobrze, zobaczysz. Nie powinnaś się mnie bać, Amalie. Do końca życia będę cię nosił na rękach.

- Wiem, Paul. Jesteś wspaniałym człowiekiem - odparła.

Przypomniała sobie jego pocałunki i czułe dłonie na swoim ciele. Towarzyszyło temu dziwne ssanie w dole brzucha.

- Czekam, aż zostaniemy małżeństwem - powiedziała.

- Chciałbym cię przytulić - rzekł Paul ochryple. - Mam ochotę znowu cię całować. Pragnę cię, myślałem o tobie dniami i nocami, nareszcie jestem prawie u celu.

Przymknęła oczy, wiedziała, co się teraz stanie. Pozwoliła mu się obejmować, była spragniona bliskości mężczyzny.

„Amalie, Amalie!”

Odkoczyła od Paula jak oparzona. Usłyszała głos Mittiego. Ale dlaczego teraz? „Czy ty zapomniałaś?”

Znowu głos Mittiego! Wstała, roztrzęsiona. O co mu chodzi?

Paul doskoczył do niej.

- Co się z tobą dzieje?

- Nie mam pojęcia, ale słyszałam głos Mittiego. Czułam jego oddech na twarzy.

Paul westchnął.

- Wiem, że ty miewasz wizje. Ale czy nie jest tego zbyt wiele? Nie lubisz, kiedy cię całuję, Amalie?

Ona go jednak nie słuchała, myślami była daleko stąd. O co chodzi Mittiemu? O czym niby miałyby zapomnieć? Nigdy przedtem tak do niej nie przemawiał, teraz jego głos dźwięczał jej w środku głowy. Prawdziwy głos Mittiego.

Paul ujął ją za rękę i przywrócił do rzeczywistości.

- Jedźmy dalej. Jeśli mamy dotrzeć do celu przed zapadnięciem zmroku, to nie powinniśmy zwlekać.

Amalie wspięła się na siodło i wkrótce znowu prowadziła Czarną przez las. Wciąż jednak była oszołomiona tym, co ją spotkało. Dlaczego Mitti pojawił się w jej myślach właśnie teraz?

- Chyba bardzo zmarzłaś - stwierdził Paul, spoglądając na nią zatroskany.

Amalie pokręciła głową.

- Nic mi nie jest, ale z każdym krokiem Czarnej w stronę szałasów ogarnia mnie coraz bardziej nieprzyjemne uczucie. Przez cały czas mam wrażenie, że ktoś się za mną czai.

Paul spoglądał na nią przejęty.

- No przestań, przecież jesteśmy tu sami. Nikt nie włóczy się po lasach o tej porze roku.

Amalie przytaknęła. Nie była w stanie tłumaczyć mu swoich wizji, zresztą i tak by tego nie zrozumiał.

W jakiś czas potem znaleźli się na rozległej polanie i Amalie odetchnęła z ulgą. W lesie panował mrok, drzewa stały bardzo blisko nich, wprost trudno było oddychać. Paul zatrzymał konia i Amalie też ściągnęła wodze.

- Teraz jesteś moja, Amalie, nigdy o tym nie zapominaj - powiedział mężczyzna, patrząc jej głęboko w oczy.

Słowa kompletnie wytrąciły ją z równowagi.

- Jeszcze nie jestem twoja, Paul.

Jego wzrok pociemniał.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie możesz już marzyć o Andreasie. Kiedy zostaniemy małżeństwem, zabronię ci tego.

- Och, daj spokój! - syknęła zirytowana.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegalem.

Kiedy ponownie znaleźli się w lesie, Amalie poczuła się bardzo zmęczona. Wpatrywała się w jadącego przed sobą Paula. Była w stanie go zrozumieć, ale tak trudno jest zmienić uczucia.

Znowu zaczęła myśleć o Mittim. On tak kochał las i dziką przyrodę. Był prawdziwym człowiekiem lasu.

Musiała się jednak koncentrować na drodze. Przyszło jej teraz do głowy, że to być może nieprzemyślana decyzja, żeby jechać tędy. Może to jednak jedyna możliwość dostania się do szalasu. Wciąż nigdzie nie napotkali człowieka w pelerynie. Miała nadzieję, że już go więcej nie zobaczy. Dobrze pamiętała, jak bardzo przestraszył ją ostatnio.

Paul jechał milczący, ale jej to nie przeszkadzało. Nie chciała mieć wyrzutów sumienia z jego powodu. Zachował się wobec niej nieprzyjemnie, ona nie zasłużyła sobie na to.

- Wkrótce będziemy na miejscu - rzekła w jakiś czas potem.

Paul odwrócił się lekko w jej stronę.

- Całe szczęście. Gdybym wiedział, że to tak daleko, zostałbym w domu.

Zauważyła, że jest zły.

- Nie chciałam być wobec ciebie złośliwa, Paul.

- Nie przepraszaaj mnie, Amalie. To ja zachowałem się głupio.

I właśnie w tej chwili doszedł ich przejmujący krzyk, który długo niósł się poprzez las.

- Boże kochany, co to było?! - krzyknęła Amalie.
- Jakaś kobieta krzyczała - odparł Paul. - Ale głos dochodził z głębi lasu.
- Jesteś pewien? - Amalie ogarniał coraz większy niepokój.
- Pośpieszmy się, trzeba zobaczyć, co to było - powtarzał Paul.
- Myślisz, że to mogła być Vigdis?
- Nie wiem, ale czas nagli.

Paul uniósł lejce i jego koń puścił się galopem przed siebie. Amalie nie była pewna, czy powinna zrobić to samo.

Ale kiedy Paul zniknął jej z oczu, popędziła za nim.

- Moim zdaniem krzyk dochodził z tamtej strony - rzekł Paul, gdy go dogoniła. - To właśnie tam znajduje się szałas. Chyba jednak Vigdis krzyczała.

Rozglądał się niespokojnie.

- Pojedziemy tamtędy - stwierdził po chwili. - Mam nadzieję, że nic złego ich nie spotkało - dodał z wielką powagą.

Amalie podzielała te nadzieje.

- Jedź za mną i trzymaj się blisko.

- Dobrze - obiecała.

Jechali jeszcze kawałek i w końcu zobaczyli szałas, ciemny, upiorny. Amalie przeniknął dreszcz, zaczęła się cała trząść. Zło otaczało ich niczym magiczny krąg.

Amalie patrzyła ponad gęstymi zaroślami.

- Szalas wygląda jak wymarły! - zawołała.

- Ale przecież słyszeliśmy krzyczącą kobietę. Głos dochodził stąd. Ktoś musi tutaj być.

Paul zeskoczył z konia.

- Ostatni kawałek pokonamy piechotą. Nie ma sensu prowadzić tam koni.

Podszedł i pomógł jej zsiąść, potem oboje brnęli przez głębokie zasy.

- Trzymaj mnie za rękę, moja kochana - powiedział Paul łagodnie. - I nie bój się. Tu nie ma niczego złego.

Przełknęła ślinę, wiedziała, że Paul ma dobre intencje, ale nie mogła uwierzyć w jego zapewnienia. Czowała zło wokół siebie, krew pulsowała jej w skroniach, była roztrzęsiona.

Całe to miejsce przesycone jest złem.

Paul podszedł do szałasu i zapukał. Nie odpowiedziano, więc zapukał ponownie.

- Nikogo tu nie ma - rzekł po chwili.

- Ktoś jednak musi być. Nie możemy poddać się tak łatwo.

Mężczyzna zaczął więc bębnić w drzwi.

- Hej, jest tam kto? Otwórzcie drzwi! - krzyczał.

I rzeczywiście po chwili drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem i Vigdis wysunęła głowę na zewnątrz. Amalie doznała szoku. Vigdis była cieniem samej siebie. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Amalie - szepnęła, próbując się uśmiechnąć. - To ty przyjechałaś? Ale dla Erika jest już za późno. On zniknął.

Amalie i Paul weszli do środka i natychmiast wyciągnęli ręce w stronę ognia na komin-ku.

Na moment Amalie zobaczyła samą siebie z magiczną książką w rękach i przeniknął ją lodowaty chłód.

Słyszała, że za nią Paul coś mamrocze i odwróciła się.

- Kiedy Erik zniknął? - zwróciła się do Vigdis.

- Wybiegł jakiś czas temu. Próbowałam biec za nim, ale nie mogłam otworzyć drzwi.

Paul usiadł na krześle i przyglądał się nieszczęsnej kobiecie.

- Musimy go znaleźć, zanim nie będzie za późno.

- Słyszeliśmy twój krzyk - wtrąciła Amalie.

Vigdis spojrzała na nią przerażona.

- Mylisz się, to nie ja krzyczałam. To była kobieta.

- Jaka kobieta? - spytał Paul.

- Ofiara upiora w pelerynie. Widziałam, jak się tu kręci, to ona krzyczała.

- Rany boskie, to dobrze nie wróży - przeraziła się Amalie.

Paul podniósł się gwałtownie.

- Pójdę, może znajdę Erika.

Vigdis z rozpaczą kręciła głową.

- Jego nie ma na dworze. Próbowałam go odnaleźć, ale nic nie wskórałam. Erik przepadł na zawsze.

Amalie otworzyła drzwi.

- Tylko spokojnie, Vigdis. Ja pójdę z Paulem, a ty siedź tutaj, dopóki nie wrócimy.

Vigdis skinęła głową i usiadła na łóżku.



Amalie nigdy nie widziała jej w takim stanie i zrobiło jej się przykro. Ta dziewczyna widziała zło i to ją odmieniło.

- Przeszukaliśmy naprawdę rozległy teren, a jego nigdzie ani śladu - rzekł Paul w jakiś czas potem.

- Nie możemy się teraz poddać. Erik musi przecież gdzieś być.

Paul był wzburzony, zresztą jak najbardziej słusznie. Amalie przemarzła, była bliska kompletnej utraty sił, a przez cały czas wyczuwała to osaczające ich zło. Uniosła wzrok, gdy Paul nieoczekiwanie doskoczył do dużej zasy.

- Spójrz tutaj, Amalie. Krew!

Podeszła bliżej i ukucnęła.

- Boże, to nie może być krew Erika.

- Nie wiadomo. Ale muszę przyznać, że coraz bardziej się boję. Gdyby się okazało, że Erik jest poważnie ranny, będziemy mieć trudności z przetransportowaniem go na dół do wsi.

- Najpierw musimy go znaleźć - westchnęła Amalie. Rozglądała się, w pewnym momencie zauważyła złamaną gałąź. - Popatrz tam! Może on szedł tamtą drogą?

- Sprawdźmy - zgodził się Paul. - Boże, jak ja się strasznie boję. Nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżyłem. Co się tutaj dzieje?

- To jest zło, Paul. Tu straszy mężczyzna, który wymordował swoją rodzinę. Nie może stąd odejść. Paul zbladł.

- Nie żartuj sobie ze mnie, przecież nikogo nie widzę.

- Ale czujesz grozę.

Wzruszył ramionami.

- Trzeba szukać dalej.

Amalie ruszyła przez głęboki śnieg, raz po raz nachodziło ją pragnienie, żeby po prostu stąd uciec. Ale przecież nie może, gra toczy się o ludzkie życie.

Przeniknął ją dreszcz, kiedy nieoczekiwanie zerwał się wiatr przenikający do szpiku kości.

Paul pochylił się i podniósł złamaną gałąź.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził. - Gdzie się ten człowiek mógł podziać?

Amalie przeczesywała wzrokiem pokrytą śniegiem ziemię. Jakiś nieduży ptaszek zerwał się z gałęzi i usiadł na ziemi kawałek dalej, wtedy ona rzuciła się w tę stronę.

Upadła, ale szybko się podniosła. Przerazenie zaparło jej dech w piersi, kiedy na śniegu zobaczyła leżącego człowieka. Była pewna, że to pan Bordi.

Nie żyje?

Słyszała, że z tyłu za nią Paul coś mówi, ale nie oglądając się, czołgała się dalej po śniegu.

- Patrz, tam leży! - wrzasnęła.

- Gdzie?

Rzuciła się na niedające znaku życia ciało.

- To jest pan Bordi! - zawołała, potrząsając nim. Rozległ się pojedynczy jęk i znowu zaległa cisza. I wtedy zobaczyła, skąd krew wypływa. Pan Bordi skaleczył sobie rękę. Krew ciekła z otwartej rany.

Kiedy znowu jęknął i poruszył się, odetchnęła z ulgą.

- On żyje, Paul! Paul?

Nagle odniosła wrażenie, że w lesie zaległa cisza. Odwróciła się, ale Paula nie było. Zniknął. Widziała tylko ślady jego stóp na śniegu.